

WITAMY KONGRES KULTURY POLSKIEJ!

ODGŁOSY



Nr 40 (402)
9. X. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

Dziś w numerze: ● Niemcy i Amerykanie ● Pod znakiem kremu Nivea
● Dwadzieścia lat Wytwórni Filmów Oświatowych ● Piosenki znad Tamizy
● Wiersze ● Recenzje ● Felietony ● Polonica



Z CYKLU: MILENIUM

Fot. O. Galdyński

O kulturze MASOWEJ

mówi prof. dr Antonina
Kłosowska

ODGŁOSY: Rozmowę naszą zaczniemy od kwestii stylu naszej socjalistycznej kultury masowej. Czy styl ten jest rezultatem świadomego wyboru między rozrywką a funkcyjną światopoglądowymi, między komercjalizacją a mecenatem?

PROF. A. KŁOSKOWSKA: Trudno odpowiedzieć na to pytanie, jeśli chce się przyjąć za punkt oparcia w odpowiedzi nie pewne ogólne wyznaczniki ale rzetelne, szczególnie dane obiektywne. Obawiam się, że takich danych obiektywnych badacze naszych zjawisk kultury w tym także socjologowie kultury dotąd nie posiadają. Czynniki społeczne kształtujące w Polsce wybór kulturalny, ów współczesny styl kultury to postulaty założenia polityki kulturalnej i cała jej oficjalna organizacja z jednej strony, a z drugiej strony społeczeństwo — odbiorca którego określa się często terminem wielkiej masowej publiczności, oczywiście zróżnicowanej, przejawiającej różnorodne gusty i różnorodne przygotowanie do odbioru kultury ale jednocześnie stanowiącej pewną jednolitą całość. Co można w tej chwili powiedzieć o rezultatach tej konfrontacji?

Odpowiedź nie jest łatwa. Wiadomo, że z jednej strony mamy do czynienia z dużym zróżnicowaniem treści i tworzonej i przekazywanej przez kulturę. To zróżnicowanie wydaje się konieczne. Zaletą naszej polityki kulturalnej jest to że bierze pod uwagę różnorodność zainteresowania publiczności a także różnorodność momentów wyboru. Zdarza się przecież, że ci sami odbiorcy w różnych momentach potrzebują treści różnego rodzaju i różnej wagi. Odbiorcy sztuki poważnej mają czasem ochotę na bezpretensjonalną rozrywkę. Czasem zaś konsumenci lekkiej muzyki poddają się treściom głębszym, zwłaszcza jeżeli się spotkają z dostępnym środkiem przekazu. A więc wydaje się, iż przedstawianie i dostarczanie odbiorcom różnorodnych treści o różnych, nierównych wartościach jest uzasadnione społecznymi potrzebami, jest obowiązkiem społecznym organizatora kultury wobec odbiorcy. Ale obok tego powstaje drugi problem. Czy wobec dość szerokiej możliwości wyboru nie stwarza się warunków do dokonywania wyboru gorszego, mniej ambitnego, do pozostawiania tylko przy treściach niższego poziomu. W eliminowaniu pewnych treści szczególnie niskiej wartości jest u nas na pewno łatwiejsze niż w wielu krajach kapitalistycznych, także w tych, jak np. Francja, które mają swoją politykę kulturalną i duże pod tym względem ambicje, lecz muszą się zmagać z naciskiem interesów wielkich koncernów finansowych, które stanowią przedsiębiorstwa wytwarzania kultury, np. wydawnictw popularnej „prasy serca” itp. W naszych warunkach takie naciski grup ekonomicznych tworzących kulturę ze względów czysto komercyjnych nie istnieją. To oczywiście nie znaczy, że czynnik ekonomiczny nie odgrywa u nas żadnej roli w kształtowaniu poziomu kultury. Być może mielibyśmy nieco lepszy odcinek powieściowej prasy codziennej gdyby nie kwestia oszczędności na honorariach autorskich. Zwłaszcza w dziedzinie przekładów. To jeden z licznych przykładów podobnych faktów, gdzie można znaleźć u nas również

Dalszy ciąg na str. 3



ZE ŚWIATA

Artykuł „Trybuny Ludu” pt. „O zwycięstwie decyduje jedność”, przedrukowany przez gazety wojewódzkie, a dający wyraz naszej trosce o rozwój wydarzeń w Wietnamie i postawę kierownictwa Chińskiej Republiki Ludowej — zrelacjonowany został przez większość agencji światowych. Stwierdzają one, że publikacja ta odzwierciedla stanowisko Polaków wobec najbardziej obecnie niebezpiecznego konfliktu. Stwierdzają także, że kładziemy silny akcent na potrzebę jedności działającego państwa socjalistycznych.

Jako, że nie sądzę, by artykuł ten pozostał niezauważony przez Czytelników, nie będę go omawiał. Przedjdźmy zatem do komentowania innych wydarzeń.

Na świecie niezmiennie punktem najwyższego zainteresowania jest oczywiście Wietnam. Wszystko, co łączy się z tym problemem, skupia uwagę opinii publicznej. Ostatnio więc na łamach prasy zagranicznej omawiane są przede wszystkim: przedmiotowe Coupe de Murville'a w ONZ oraz zapowiedź zwolnienia „szczytu” siedmiu krajów w Manili.

Francuski minister spraw zagranicznych dał w swym wystąpieniu na forum Zgromadzenia Ogólnego wyraz głębokiej mądrości politycznej. Wychodząc z założenia, że „ani potęga potężnej Ameryki nie jest możliwa, ani też nie ma szans, aby naród walczący o niepodległość zwyciężył, jakiegokolwiek miałyby być jego cierpienia” — raz jeszcze proponował powrót do Układów Genewskich. Podkreślił przy tym bardzo mocno konieczność pozostawienia regulacji spraw samym Wietnamczykom — bez względu na ustrój społeczny, jaki oni wybiorą.

W innej części przemówienia — przy okazji wyrażania poglądu rządu francuskiego na problem niemiecki — ponownie wymierzył cios w politykę Stanów Zjednoczonych, przeciwstawiając zagadnieniu azjatyckiemu, gdzie trwa ich interwencja — zagadnienie europejskie, gdzie bez USA współistnienie zaczyna przybierać realne kształty.

Observatoryj twierdzi, że przemówienie Coupe de Murville'a wyparło swą logiką wielkie wrażenie w ONZ. Tak wielkie, że przedstawiciel Stanów Zjednoczonych — Goldberg po raz pierwszy w dziejach tej organizacji uznał za słuszne replikować wystąpienie delegata sojuszniczego kraju. W niczym nie mogło to już jednak zmienić sytuacji i osłabił wymowy oskarżenia Francji pod adresem USA.

Rzecz tym bardziej nieprzyjemna dla Waszyngtonu, że właśnie — w miarę, jak zbliża się termin wyborów do Kongresu — Johnson zabiega o stworzenie pozorów „dobrej woli” Stanów Zjednoczonych. Z tych też

zapewne względów z aplauzem przyjęła propozycję prez. Filipin — Marcosa, by jeszcze w październiku (koniec miesiąca) zorganizować w Manili spotkanie szefów rządów: Stanów Zjednoczonych, Filipin, Południowej Korei, Syjamu, Nowej Zelandii, Australii i Południowego Wietnamu.

Po cóż to zebrać się ma to „dobrotowe” towarzystwo?

Rzekomo po to, by przedyskutować możliwości pokojowego rozwiązania konfliktu wietnamskiego, w praktyce — by potwierdzić dotychczasową akcję USA w Wietnamie.

„Nieuchronnie — pisał „New York Times” — spotkanie to przybierze w oczach świata zabarwienie rady wojenne”. Na pewno. I to rady, która ma wzmacniać interesy przedwyborcze partii Johnsona.

Prawdopodobnie tymi samymi interesami podjętowa była decyzja prezydenta o powierzeniu obowiązków podsekretarza stanu — Katzenbachowi, dotychczasowemu ministrowi sprawiedliwości. Obiecałem w ub. tygodniu skomentować tę szokującą nominację i słowa chcę dotrzymać.

Otóż Johnson chciał — jak wydaje się — upiec przy jednym ogniu dwie przyszłościowe pieczenie: po pierwsze — stworzyć wrażenie, że myśli o ewentualnej wymianie Ruska (zawsze to przecież wygodnie znaleźć w razie potrzeby koźła ofiarowego), po drugie — usunąć z resortu sprawiedliwości człowieka, który sympatyzuje z Robertem Kennedy'm — prawdopodobnym, a niebezpiecznym rywalem Johnsona w przyszłej kampanii prezydenckiej.

Decyzja tym bardziej jest zaskakująca, że Katzenbach, nie mający najmniejszego doświadczenia międzynarodowego, przychodzi na miejsce Balla, wyspecjalizowanego w sprawach Europy i NATO.

Jak Czytelnicy widzą, nadchodzący wybory w USA dyktują administracji takie, czy inne kroki. Niestety — ciągle nie ma wśród nich najważniejszych — odnoszących się do przywrócenia pokoju w Wietnamie.

Raz jeszcze wypadnie nam dzisiaj mówić o Johnsonie — tym razem z powodu rozmów, jakie odbył w Waszyngtonie z Erhardem.

Nie wróćono temu spotkaniu jedynomyślności. Rzeczywiście, w jednej sprawie — wyrównania dewizowego przez NRF kosztów stacjonowania wojsk amerykańskich — zgodności nie osiągnięto. Rozstrzygnąć ma to trójstronna konferencja z udziałem W. Brytanii, która także żąda od Bonn wyrównania. Nie może to jednak przystąpić faktów ważniejszych, że Erhard nie zrezygnował z udziału w kontroli nad bronią nuklearną, a Johnson roszczenia te poparł oraz że uznano „prawo i obowiązek Republiki Federalnej do reprezentowania całej wspólnoty niemieckiej”.

A więc wszystko po staremu: NRF może liczyć na dalsze uchylanie jej drzwi do broni jądrowej oraz dalsze nieuznawanie przez USA istnienia Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Co do tego dodać? Chyba tylko to, że panowie Johnson i Erhard rozmawiali w czasie, kiedy ich popularność nawet we własnych krajach bardzo maleje...

W. SŁAWSKI

TKRONIKA TYGODNIA

Brazylijskie ministerstwo lotnictwa wydało zakaz noszenia przez żołnierzy odbywających służbę w tym rodzaju sił zbrojnych, włosów a'la Beatles, jak też brody i wąsów.

Koszty wojny wietnamskiej obciążają podatnika amerykańskiego w stosunku rocznym kwotą 14,5 miliarda dolarów. Przewiduje się, iż pod koniec drugiego kwartału 1967 roku koszty wojny wzrosną w stosunku rocznym do 20 miliardów dolarów. Wysokość funduszy — pisze „New York Times” — potrzebnych do pokrycia kosztów nie wypowiedzianej wojny w dalekim kraju, dla celów, które nigdy nie zostały ściśle określone, wydaje się co najmniej wstrząsająca.

Profesor Liberman oświadczył, że pierwsze wyniki stosowanego w Związku Radzieckim nowego systemu planowania i budżetów materialnych są „całkowicie pomyślne i rokują duże nadzieje”. Wskaźniki 673 przedsiębiorstw eksperymentujących w dziedzinie wzrostu wydajności pracy, poziomu rentowności i zwiększenia zysku, są wyższe od przeciętnych w całym Związku Radzieckim.

Z Konga donoszą, iż szef rządu general Mobutu przygotowuje rozprawę sądową przeciwko Czombemu pod zarzutem zdrady stanu.

„Kulturom Tvorba” pisze o problemie plac w Czechosłowacji. Powołując się na wyniki analizy danych z 12 państw socjalistycznych i kapitalistycznych pismo konkluduje, iż w CSRS na przestrze

plac realnych, i wreszcie, że w CSRS istnieje najdalej posunięta niwelacja plac. „Obecna sytuacja w dziedzinie plac jest w znacznej mierze owocem przesadnych wyobrażeń — kontynuuje pismo — że w socjalizmie nie placce ale „również inne” bodźce skłaniają ludzi do pracy, że wreszcie niedobrze jest zbyt- nio akcentować bodźce materialne itp.”.

W Pekinie ukazało się kieszonkowe wydanie „Poematów przewodniczącego Mao”, zawierające 37 utworów. Sinhua pisze, że drukarze pracowali od rana do nocy, aby przygotować wydawnictwo na dzień święta narodowego.

Przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych J. W. Fulbright oświadczył w wywiadzie prasowym, że eskalacja konfliktu wietnamskiego skłoni Chiny Ludowe do wkroczenia do walki. Senator dodał, iż nie zdołał przekonać prezydenta Johnsona i innych przedstawicieli rządu, iż istnieje poważne niebezpieczeństwo takiego właśnie rozwoju wydarzeń.

Przywódca Murzynów amerykańskich dr Martin Luther King zaprotestował przeciwko temu, że 20 proc. żołnierzy amerykańskich w Wietnamie stanowią Murzyni, podczas gdy ludność murzyńska w USA stanowi zaledwie 10 proc. Fakt ten, zdaniem dra Kinga jest typowym przykładem dyskryminacji rasowej. Głęboko zakorzenionej w życiu Stanów Zjednoczonych.

Z dniem 1 października br. w Bułgarii weszły w życie kolejne podwyżki plac dla

Wybitny ekonomista francuski Jacques Rueff stwierdza, że jeśli nie dojdzie do szybkiej reformy między-narodowego systemu walutowego łącznie z podwyżką cen złota i w ślad za tym dewaluacją dolara i funta szterlinga, na co od pewnego czasu usilnie nalega rząd Francji, świat znajdzie się w sytuacji kryzysowej przypominającej lata 1928-1933.

W ostatnim numerze radzieckiego tygodnika w języku angielskim „Moscow News” zamieszczono artykuł o pomocy radzieckiej dla Chin. Wśród różnych form tej pomocy wskazuje się że — jednostki lotnictwa radzieckiego zostały w swoim czasie wysłane na prośbę rządu ChRL, aby pomóc w walce z intruzami czangkajskowskimi i szybko rozprawiły się one z tajwańskimi piratami.

Wicepremier ChRL, Czen I, oświadczył podczas bankietu wydanego na cześć emigrantów chińskich z Hongkongu i Macao, którzy przybyli do Pekinu w związku ze świętem narodowym ChRL: „Nasz wielki przywódca przewodniczący Mao i jego bliski towarzyszy broni tow. Lin Piao cieszą się znakomitym zdrowiem. Jest to najdroższa wieść i pierwsza rzecz, o której chcemy was poinformować”.

Podsekretarz stanu w bońskim ministerstwie spraw zagranicznych Ralf Lahr bawił z kilkudniową wizytą w Bułgarii. Wizyta ta — stwierdził Lahr — stanowi „dobry wstęp do dalszych kontaktów z Bułgarią”.

Sekretarz obrony USA McNamara oświadczył podczas spotkania ministrów państw członków NATO, iż USA posiadają zmagazynowane 7 tysięcy głowic nuklearnych pozostających w arsenale europejskich sił zbrojnych tej organizacji.

Senator Wayne Morse oświadczył przed kamerami telewizyjnymi, że ma poważne wątpliwości czy prezydent Johnson mógłby być ponownie wybrany prezydentem w najbliższych wyborach prezydenckich. Przewidywał, że należy szukać, zdaniem Morse'a, zarówno w polityce zagranicznej, jak i wewnętrznej rządu.

W Związku Radzieckim zmarł najstarszy człowiek w tym kraju, a być może na świecie, Szirali Mislimow, legitymujący się wiekiem ponad 160 lat. Mislimow pracował aż do śmierci, jako strażnik w kolechozie i codziennie odbywał do miejsca pracy ponad siedmiokilometryową podróż na ośle bądź pieszo. Mislimow po raz ostatni został ojcem w wieku lat 130.

Fidel Castro: „Rewolucja może odesłać na emeryturę każdego, może pensjonować szlachetnie nawet każ-



— Halo! Czy prez. Johnson? Tu Sajjon, obliczaliśmy właśnie z gen. Ky wyniki wyborów. — Czy zgadza się pan na zwycięstwo 51 proc.?

ni ostatnich 10 lat miało miejsce najniższe tempo wzrostu plac nominalnych, wiele krajów prześcignęło Czechosłowację pod względem wzrostu

szeregu grup pracowniczych. Ogółem w 1966 roku podwyżka plac w Bułgarii objęto 580 tysięcy pracowników. Z dniem 1 stycznia 1967 roku otrzymają podwyżki pracownicy pozostali działów gospodarki narodowej.

W ZSRR ukazała się kolejna część pamiątników marszałka G. Zukowa, w któ-



— Treser woło potrzebny od zaraz.

rych opisuje on kontrwersję między nim a Stalinem, w okresie bitwy pod Moskwą, w końcu 1941 roku.

Amerykański magazyn „Time” rozważa perspektywę kariery politycznej Roberta Kennedy'ego i dochodzi do wniosku, że rosnąca wciąż popularność senatora New Yorku doprowadzi go niewątpliwie do prezydentury w 1972 roku. Czynnikiem przemawiającym za takim rozwojem sytuacji jest m. in. fakt, że w 1972 roku o trzecim wyborca amerykański będzie w wieku poniżej 35 lat. Tę właśnie grupę ludności obrał sobie Kennedy za cel swoich starań, a tylko niewielu polityków tak zręcznie jak Kennedy'owie potrafiło dostosować swą postawę do epoki.

dego rewolucjonista, który się zmęczył. Bardziej opłaca się nam mieć rewolucjonistę na emeryturze niż człowieka zmęczonego w roli rewolucjonisty... Przyjdą nowe kadry, przyjdą nowe pokolenia; będzie się wysuwać najzdolniejszych; nikt nie powolien przywiązywać się do zaszczytów ani stanowisk ponieważ narody zawsze płaciły za to wysoką cenę”.

Francuska firma budowlana Raymond Camus została zaangażowana przy odbudowie Taszkentu, zniszczonego w czasie ostatnich trzęsienia ziemi. Rzecznik firmy oświadczył, iż niebawem w Paryżu podpisany zostanie odpowiedni kontrakt z przedstawicielami radzieckimi, na mocy którego przedsiębiorstwo francuskie budować będzie 25 mieszkań dziennie.

OWOCNYCH OBRADI

KONGRES KULTURY POLSKIEJ

Piszę ten felieton na kilka dni przed rozpoczęciem Kongresu Kultury Polskiej. Gdy numer nasz ukaże się w kioskach i dotrze do rąk czytelników, Kongres będzie otwarty. Wiemy już, że na Kongres, oprócz delegatów krajowych, przyjadą zaproszeni goście z wielu stron świata: Ameryki i Anglii, Francji i Niemiec, Związku Radzieckiego i Węgier. Będą wśród nich nie tylko nasi cudzoziemscy przyjaciele, zainteresowani kulturą polską, często jej entuzjaści i szczerzy propagandyści; przybędą także Polacy, którzy od lat mieszają poza granicami Polski, lecz nie zerwali więzów z Macierzą, jak na przykład wybitna pisarka Maria Kuncewiczowa.

Ostatnie dni przedkongresowe upłynęły zarówno w prasie, radiu jak i telewizji pod znakiem rozmów z delegatami, którzy wypowiadali swoje poglądy na rolę i znaczenie tej wielkiej imprezy kulturotwórczej, wiążąc z nią wiele dobrych myśli i nadziei. W audycjach ogólnopolskich telewizji warszawska, krakowska i katowicka zaprezentowały nam wywiady z poszczególnymi delegatami na Kongres, wywiady — dodajmy — ciekawe, wzbogacające naszą wiedzę o ludziach tworzących wartości kulturalne, o dorobku i perspektywach rozwojowych poszczególnych sztuk. Nasza łódzka telewizja nie włączyła się do tego ogólnopolskiego programu. Z naszego miasta pojedą na Kongres ludzie, których osiągnięcia znane są i cenione nie tylko w Łodzi i dobrze byloby, gdyby nasza telewizja mogła, przedstawić ich samym szerszej społeczności. Uczeni: Stefania Skwarczyńska i Józef Stanisław Piątkowski, piasty: Zdzisław Głowacki i Benon Liberski, artyści:

oi: Hanna Małkowska i Feliks Żukowski, pisarze: Stanisław Czernik i Marian Piechał — są to twórcy, których dorobek liczy się w skali ogólnokrajowej i dlatego zostali oni wybrani na Kongres Kultury jako nasi delegaci. Czemu nie rozmawialiśmy z nimi przed Kongresem w ogólnopolskim programie TV?

Obrady Kongresu Kultury potrwać trzy dni. W drugim dniu delegaci obradować będą w komisjach, których powstało dwanaście, m. in. komisja, która rozpatrywać będzie działalność kulturalną w wielkich skupiskach miejskich, komisja literatury dla dzieci i młodzieży, komisja dla spraw teatru, radia i telewizji, komisja, analizująca upowszechnianie się kultury polskiej w świecie, itp. Do wielu z tych komisji wchodzi również nasz łódzki delegaci. Mamy prawo oczekiwać, że udział ich nie ograniczy się do biernego wystuchania referatów, lecz że włączą się oni do dyskusji i wzbogacą narady o swoje ważne doświadczenia, wyniesione z pracy w łódzkiej środowisku. O tych właśnie sprawach mówiono ostatnio w czasie wspólnego zebrania naszych delegatów przed wyjazdem na Kongres.

Kongres Kultury Polskiej może mieć znaczenie przełomowe: podsumować to, co w kulturze osiągnięto, i wytyczyć nowe drogi na przyszłość. A przyszłość ta bardzo nas wszystkich obchodzi i nie jest wcale obojętne, w jakim kierunku i jakimi drogami potoczy się dalszy rozwój nauki, sztuki i literatury w naszym kraju. Kultura staje się coraz bardziej powszechna i obejmuje swoim zasięgiem coraz szersze warstwy ludności w mieście i na wsi. Fakt ten sprawia, że tym większego znaczenia nabierają dzieła twórców i tym większa spada na nich odpowiedzialność. Wyświechtane słowa o wychowawczej roli sztuki odzyskują w tym kontekście swój prawdziwy blask.

Redakcja „Odgłosów” życzy delegatom twórczych i owocnych obrad.

SPEKTATOR

O kulturze

MASOWEJ

mówi prof. dr Antonina

Kłoskowska

Dalszy ciąg ze str. 1

wplyw ekonomicznego czynnika. Może pewne programy telewizyjne byłyby lepsze, gdyby były honorowane w sposób wyższy. Chociaż nie zawsze lepiej opłacany program jest jednocześnie lepszy pod względem artystycznym. Komerccjalizm jest więc znacznie mniejszym niebezpieczeństwem, jeśli w ogóle jest niebezpieczeństwem, dla naszej kultury masowej, niż w krajach kapitalistycznych. Z drugiej strony pozostaje ta podniesiona poprzednio kwestia wyboru dokonywanego przez samą publiczność. I tutaj widzę następny dylemat. Mamy już doświadczenia w naszej 20-letniej historii, że polityka monopolu i narzucania pewnych wybranych treści trafia na bierny opór ze strony odbiorców. A więc nie jest to właściwa droga. Ale czy przy różnorodności wariantów i poziomów nie faworyzuje się gorszych, mniej ambitnych wyborów, ze strony publiczności? Pogląd zgodny z którym nasza publiczność jako całość jest na tyle wyrobiona, że nie trzeba się bać o jej decyzje, wydaje mi się utopijny. Nasze informacje szczegółowe o zamiłowaniu, gustach wielkiej publiczności wskazują raczej na pewną ambiwalencję gustów, która może być niebezpieczna, ale może być także bardzo pozytywna. Te same kategorie ludzi wybierają czasami np. filmy bardzo dobre i wręcz niedobre. Pozostaje do zbadania, jakie mechanizmy decydują o wyborze tak różnych kategorii, w jakim towarzystwie wariantów treściowych można przyswoić sobie trudniejsze treści, a w jakich to wypadkach formy bardzo ubogie wybiera się dlatego, że treści której towarzyszą jest atrakcyjna. Prace badawcze w tym zakresie są nam palaco potrzebne.

ODGŁOSY: Przenieśmy te rozważania na grunt naszego miasta. Np. filmy bardzo dobre, trudne, schodzą błyskawicznie z ekranów, przy tym nie są wspomagane żadną bonifikatą. Inny przykład, Marlena Dietrich nie przyjechała na estradę łódzka, bo nie mogliśmy zagwarantować jej pełnej sali. Natomiast Marino Marini, który legitymuje się lichym w istocie rzeczą poziomem, w naszym mieście odnosił ogromne sukcesy. Dalej — ambitna twórczość filmowców choćby z Wytwórni Filmów Oświatowych — właściwie nie znajduje konsumentów. Teatry sięgnęły w ostatnich latach po takie pozycje jak „Wicek i Waćek” czy już zupełnie zgrane komedie bulwarowe. Czy więc z tego wszystkiego nie wynika jakieś niebezpieczeństwo hegemonii zasady rozrywki, czy nie mamy tu do czynienia z pewnym rozziwem pomiędzy zamiarem a realizacją pośtatów naszej kultury masowej?

PROF. A. KŁOSKOWSKA: Na pewno trudno jest wyważyć dokładne proporcje między dziełami wyższego poziomu kultury, jakie dostarcza się publiczności, a tego średniego czy niższego. I na pewno jest rzeczą istotną, aby ten wyższy poziom był reprezentowany we wszystkich środkach masowego przekazu i aby go uprzywilejować w jakiś sposób w stosunku do innych rodzajów.

ODGŁOSY: Czy oznacza to zasadę bonifikaty?

PROF. A. KŁOSKOWSKA: Wielokrotnie podkreślano w związku z rozważaniami nad Kongresem Kultury, że są działy twórczości i produkcji kulturalnej, które muszą korzystać ze specjalnej pomocy, które powinny być niejako forsowane. Czy Łódź znajduje się w sytuacji pod tym względem gorszej niż inne ośrodki wielkomiejskie? Przeciwny poziom wykształcenia jest niższy w Łodzi, niż w wielu innych wielkomiejskich ośrodkach. Proporcja osób z wyższym wykształceniem jest niższa, niż w wielu innych miastach, zwłaszcza niższa w porównaniu np. z Warszawą czy Krakowem, nawet w porównaniu z niektórymi mniejszymi miastami wojewódzkimi. Wiadomo, że te cechy w sposób najistotniejszy wpływają na dokonywanie wyboru w dziedzinie kultury. Podnoszenie się przeciętnego poziomu wykształcenia zazwyczaj łączy się z podnoszeniem ambicji kulturalnych. W Łodzi ten proces się dokonuje, ale nie jesteśmy jeszcze w sytuacji najlepszej. Musi to zakładać potrzebę tym bardziej przemyślanej dydaktyki czy pedagogiki kulturalnej, ale zakłada to także zaspokojenie wymagań kulturowych w szerokiej skali, zaspokajanie już istniejących wymagań w sposób możliwie najdoskonalszy. Poza tym jest może jeszcze kwestia inna, która w mniejszej mierze nadaje się dla studiów socjologa — to jest kwestia wewnętrznych środowisk artystycznych miasta. Takie środowiska są produktem raczej spontanicznym aniżeli rezultatem polityki kulturalnej. Czasami to przecież kwestia kilku jednostek specjalnie utalentowanych i jednocześnie „dolnych do wywierania wpływu na otoczenie. Nie wiem czy pod tym względem

Łódź posiada sytuację lepszą czy gorszą niż inne miasta Polski, to jest na pewno sprawa bardzo subtelna, do której oceny powołani są specjaliści czy też członkowie środowisk twórczych bardziej aniżeli fachowiec od badania recepcji twórczości kulturalnej, jakim może być socjolog.

ODGŁOSY: Jeśli już mowa o trudnościach — zastanówmy się może, co w kategoriach kultury masowej nasze miasto oferuje młodemu człowiekowi? Czy nasze niedostatki w zakresie inwestycji kulturalnych nie zagrażają awansowi kulturalnemu młodego pokolenia?

PROF. A. KŁOSKOWSKA: Wyposażenie techniczne służące kulturze jest niewątpliwie bardzo ważnym czynnikiem recepcji kulturalnej. Produkcja stwarza w jakimś stop-

wolny czas biernie. Jest rzeczą bardzo szkodliwą społecznie, jeżeli biernie spędza czas wolny także młodzież — ta młodzież szlifująca bruki Piotrkowskiej. Kontakty społeczne mogą dokonywać się w oparciu o różne treści kultury. Jest rzeczą bardzo ważną, by obudzić aspiracje młodzieży w kierunku kontaktów społecznych o pewnych wartościach intelektualnych i artystycznych, żeby te koleżeńskie kontakty które są głównym motorem tworzenia się grup młodzieży, jednocześnie dokonywały się w oparciu np. o wspólne zainteresowania artystyczne, estetyczne, intelektualne. Wydaje się, że w tej dziedzinie pewna intensyfikacja a nawet i pomoc organizacyjna byłaby potrzebna i możliwa. Jestem w tej chwili pod wrażeniem niedawnych odnowionych kontaktów z kulturą francuską. We Francji kładzie się duży nacisk na animatorów czyli tych, któ-

terackie”. Szeroka publiczność, często zdezorientowana tym, na co natrafia w swoim artystycznym doświadczeniu np. w telewizji czy w filmie, czuje potrzebę informacji, pokierowania. I taką właśnie rolę może pełnić prasa codzienna i ewentualnie popularne magazyny ilustrowane, które są przedmiotem czytelnictwa najszerszych mas. Pisma o większym nakładzie i łatwiejszym na ogół poziomie nie powinny rezygnować z ambicji krytycznych i powinny w pełni doceniać wagę tej właśnie formy krytyki, którą przekazują szerokim warstwom społeczeństwa. Wiemy z badań, że odbiorcy deklarują potrzebę informacji np. na temat bardzo popularnego teatru radiowego i telewizyjnego, poprzez które docierają różne przeciętne, czasem trudne, niepokojące słuchacza, który chciałby znaleźć ich wyjaśnienie, ale nie należy sądzić, że będzie ich szukać w specjalnych wydawnictwach krytycznych. Natomiast wydawnictwa popularne mogą przez swoją krytykę wiele zdziałać dla podniesienia poziomu informacji masowej publiczności.

ODGŁOSY: Tak oto jesteśmy przy zagadnieniach pogodzenia pięknego z pożytecznym. Socjologia określa to terminem homogenizacji. Czy nie zagraża ona w konsekwencjach ogólnemu poziomowi kultury?

PROF. A. KŁOSKOWSKA: Homogenizacja to ow kamień obrazy, którym się rzuca w kulturę masową. Sądzę, że homogenizacją jest zjawiskiem po pierwsze, nieuniknionym w kulturze masowej, po drugie — zjawiskiem, które może być pozytywne ale pod jednym warunkiem. Ta pozytywna homogenizacja powinna być homogenizacją ku górze. Kiedyś zrobiłam zestawienie wskazujące, że w „Przyjaźni” na przestrzeni rocznika było kilkanaście utworów wybitnych pisarzy, klasyków. A więc jest to pismo nie nastawione na najbardziej trudne treści, a jednak pojawiają się tu elementy wyższego poziomu: to właśnie homogenizacja od dołu do góry. Natomiast rzeczka bardzo niebezpieczną dla poziomu kulturalnego byłaby homogenizacja od góry do dołu. To znaczy taki stan, gdzie w kulturze nie byłoby w ogóle instytucji wydawnictw nastawionych wyłącznie na przekazywanie dzieł wyższego poziomu kultury. Takie wydawnictwa, takie instytucje są konieczne dla rozwoju kultury przede wszystkim dla samej twórczości i gdyby tutaj wkroczyła homogenizacja, wydalaby się to rzeczywiście niebezpieczeństwem. Otóż takie czasopisma jak „Przekrój”, prasa codzienna, która wprowadza także np. dzieła poezji, która podaje recenzje, omówienia poważnych książek, która daje informacje o ciekawych i wartościowych nagraniach płytowych te wszystkie organy pełnią pozytywną i pożyteczną funkcję homogenizacji ku górze. Natomiast trudno mi ocenić pewne zjawiska natury pośredniej — czasopisma o nakładzie kilkunastu tysięcy, o ambicjach niewątpliwych, kulturalnych, ale jednocześnie chcące przyciągnąć szerokich czytelników i wobec tego uprawiających homogenizację poniżej swoich zasadniczych zadań i zamierzeń. Z pewnym niepokojem obserwuję tego rodzaju pisma, których zadanie nie jest dla mnie jasne i co do których trudno mi byłoby powiedzieć, czy one uprawiają homogenizację ku górze czy ku dołowi. Ale to jest zagadnienie, które na pewno wymaga zbadania, trzeba określić kategorie odbiorców tych pism, i sposób ich odbioru aby można było coś powiedzieć na ten temat. Tutaj powstrzymuję wszelkie sądy wartościujące chciałabym po prostu podkreślić potrzebę zbadania charakteru tego rodzaju wydawnictw, charakteru ich odbiorców i funkcji ich w stosunku do odbiorców.

ODGŁOSY: Czy w związku z umasowieniem telewizji, z umasowieniem małego, przenośnego radia, które w tak łatwy zauważalny sposób trafiło już w ręce naszej młodzieży — czy w związku z umasowieniem tych środków przekazu można mówić o jakimś trzecim progu umasowienia jako o zjawisku już istniejącym.

PROF. A. KŁOSKOWSKA: Wydaje się, że jest to dopiero pełna realizacja drugiego progu. Jeżeli chodzi o intensywność nasycenia radiem, telewizją, nawet prasą jesteśmy wciąż za wieloma krajami świata zarówno socjalistycznymi jak kapitalistycznymi i mamy tutaj jeszcze wiele do nadrobienia. Chodzi o uzyskanie pełnego nasycenia w tym sensie, aby statystyczna rodzina posiadała te aparaty w swoim zasięgu. Telewizja rzeczywiście w sposób intensywny występuje w Łodzi i przywodzi od razu na myśl pewne bardzo istotne dane. Łódź poza Śląskiem jest w tej chwili środowiskiem o szczególnie dużej proporcji rodzin robotniczych posiadających telewizory. Środowiskiem gdzie telewizyjna publiczność robotnicza jest szczególnie liczną, a zatem ta najszersza publiczność ma przygotowanie w zakresie szkoły podstawowej podnoszące się w tej chwili w kierunku wykształcenia technicznego, ale w każdym razie reprezentuje środowisko o typowej nowej kulturze pracy i techniki. Telewizja może reprezentować skuteczny środek uzupełnienia rosnącej kultury technicznej, może ją wzbogacać o kulturę humanistyczną. Usługujemy potrzebę badać jak docierają takie treści jak np. teatr telewizyjny tak bardzo zróżnicowany. Jaki wybór i użytek w tej różnorodności robi publiczność i co można by zrobić, aby jak najpełniejszy użytek z audycji wskiego poziomu użytek? Otóż ten drugi próg umasowienia zawiera w sobie wciąż ogromny potencjał oddziaływań kulturalnych, ale trzeba stworzyć społeczne warunki odbioru przez pobudzanie gustów, pobudzanie ambicji oraz dostarczanie instrukcji dotyczących tego odbioru. Jak się kształtują te zjawiska na drodze spontanicznej, nie wiemy jeszcze dobrze. Ale już musimy się zastanawiać, jak animować owe warunki odbioru na drodze społecznych inspiracji. A to jest przecież istotny sens naszej polityki kulturalnej.

Rozmawiał: WACŁAW BILIŃSKI



niu konsumpcję i nie można konsumować tego, czego w ogóle nie ma. Ale istnieje również druga strona medalu wkraczająca w zakres wpływów społecznych kształtujących stosunek do kultury — to problem, czy młodzież trafia do instytucji kulturalnych, jakie już istnieją, i tutaj wkraczamy w sferę, która jest w dużej mierze sferą społecznych kontaktów — a nie tylko technicznego wyposażenia i nawet nie tylko już intelektualnego przygotowania formalnego poprzez szkołę. Istnieje problem ambicji, aspiracji kulturalnych, pewnej nawet mody jaka wytworzyła się w kręgu młodzieży. Stykam się z młodzieżą uniwersytecką, młodzieżą akademicką. Można powiedzieć, że znaczna część młodzieży z większością swojej są to ludzie zainteresowani zjawiskami kulturalnymi i dobrze poinformowani. Ale to na pewno nie reguła. Pozostaje jeszcze bardzo szeroka kategoria młodzieży szkół technicznych, zawodowych, młodzieży pracującej — kategoria tak bardzo istotna w Łodzi przez swoją wagę społeczną. Otóż tutaj kwestia dotarcia do cennych wartości kulturalnych hamowana jest nie tylko niedostatkami urzędów kulturalnych, ale bardziej jeszcze brakiem dróg, które do tych urzędów prowadzą. I tutaj docieramy do zagadnienia organizacji życia kulturalnego, organizacji czasu wolnego młodzieży, który często bywa czasem pustym.

Z badań socjologicznych wiemy, że biernie, puste spędzenie czasu wolnego wiąże się z niższym poziomem wykształcenia, a także z wiekiem. Ludzie starsi najczęściej spędzają

rzy wychodzą na ulicę, trafiają do grup młodzieży zachęcają ją i wprowadzają na drogi kulturalnych zainteresowań. Taka praca i u nas nie jest bez precedensu, bo przecież w takim kierunku działają niektóre świetlice blokowe, niektóre organizacje młodzieżowe. Ale sprawa bardzo ważna dla takiego środowiska jak Łódź byłoby wzmocnienie pracy w tym zakresie, wybranie młodych ludzi, którzy byłby krzewicielami, rozsądnymi zainteresowaniami kulturalnymi i przyzywaczami młodzieży aby owe kontakty społeczne, owe kontakty rówieśnicze, które tak dużą rolę odgrywały w życiu młodzieży — były nasycone zainteresowaniami kulturalnymi i intelektualnymi.

ODGŁOSY: Czy krytyka i — to zarówno krytyka, która zajmuje się problematyką estetyczną jak i krytyka przez mniejsze „k”, która tylko informuje o faktach kulturowych — spełnia swoje zadanie w kształtowaniu naszej kultury masowej?

PROF. A. KŁOSKOWSKA: Moje fachowe przygotowanie każe mi zajmować się raczej ową „mniejszą” krytyką. Znaczna część odbiorców masowych środków komunikowania nie trafia do takich pism jak miesięczniki, kwartalniki czy tygodniki społeczno-literackie o specjalnym charakterze, które uprawiają krytykę zawodową. Wiemy z badań przeprowadzonych przez doc. Gostkowskiego jak niewiele proporcjonalnie ludzi bierze do ręki pismo społeczno-kulturalne, nawet takie jak „Kultura”, jak „Życie Li-

JANINA
RZĄSA-ADYNOWSKA

POD ZNAKIEM KREMU NIVEA

Było sennie, wczesne popołudnie. W mieszkaniu zadzwonił telefon. Mówi Lipsk. Jakiś hotel.

— Czy mogę mówić z panem doktorem?

— Nie, doktor jest w klinice. Będzie w domu za godzinę, proszę zadzwonić jeszcze raz.

W aparacie jakiejś trzaski, sapanie i zduszone szepoty. Już mam odłożyć słuchawkę, kiedy ni stąd ni zowąd włącza się nieznany mi męski głos mówiący po polsku. Sakramentalne „ucelowanie rączek szanownej pani” i jakiegoś nazwisko — ocki, ićki czy ućki.

Facet duka coś o „wrażeniach” — a ja potakuję uśmiechem i mecze się. Kto to może być, u licha? Wreszcie pytam wprost o co chodzi. Mój nowy znajomy oświadcza, że „nie może przez telefon” i prosi byśmy „wpadli do Lipska”. Obiecuję, że porozmawiam z mężem i odkładam słuchawkę.

Gdy maź wrócił do domu, opowiadam mu zdarzenie, powtarzam nazwisko, które i temu, nie mówi nic. Historia jak z Sherlocka Holmesa.

Nieoczekiwanie wzywają Polaki. Miał swój określony rytuał. Albo otrzymaliśmy list z Polski od kogoś z naszych przyjaciół lub krewnych, że pan X zamierza nam zrobić wizytę, albo na miejscu otrzymaliśmy telefon „Jestem X, znajomy Y-ka — czy mogę przyjść do państwa”. I w ten sposób zaczynały się znajomości, które niekiedy przetrwały do dziś.

— Ale kto to jest tym razem? Dlaczego „nie może przez telefon”? Dlaczego do Gery, skoro ma do nas interes? Jedno jest pewne. Przyciekał ktoś z Polski, siedzi w Lipsku i ma kłopoty. Może wylatał się w jakąś kabinę i nie wie jak się ruszyć, może go po prostu okradli? Nie ma co — postanowiliśmy iść. Telefon do kliniki i w piętnaście minut jesteśmy na autostradzie.

Lipsk. W recepcji hotelu podaliśmy nazwisko naszego nowego znajomego. Podają nam numery jakichś pokoi. Wycieczka? Okazuje się, że tak. Wita nas kilka przemiło uśmiechniętych, ale absolutnie nie znanych twarzy. Przedstawiamy się. W atmosferze wlewnie i prawie serdeczności trudno od razu przechodzić do rzeczy. Skoro miałyśmy kilka minut i nikt nie przechodzi do rzeczy, pytamy wprost o pana, który do nas dzwonił. Wszyscy nagle przycichli i w szepocie zaczęli mówić. Była to jedna z tych sytuacji, w których nie wiadomo, czy mówić, czy nie mówić. Wreszcie jakiś sympatyczny pan o twarzy cwaniaka zagał:

— Bo widzi pan, panie doktorze, przywieźliśmy towar. Byliśmy już pod wszystkimi adresami i wszędzie miała dostęp. Sam pan rozumie — sezon. Pan nam poda jakieś nowe adresy...

Spojrzelismy z mężem na siebie. Aha, ci sympatycznie wylądali panowie i panie chcą po prostu... zahańdłować i oczekiwać od nas pomocy w tym zbożnym dziele. Już otworzyłam usta — i zamknęłam je jeszcze przedtem. Jakże tu tłumaczyć tym solidnie wyglądającym panom i paniom, że, szmugiel, że wstyd, że nie wypada. Jeśli im nawet lupne kazanie — to pokiwają głowami, a jutro będą sprzedawać na rogu ulicy kawę i krem „Nivea”. Postanowiliśmy zadzwonić inaczej.

— To może nam państwo pokazać ten... towar.

— Już się robi! — Wykrzyknął ochoczo pan o twarzy cwaniaka. Całe towarzystwo zniknęło w mig i wróciło do chwili triumfalnie taszczyć wszelki „chodliwy” szmugiel. Czego tam nie było! Szynki w puszkach, czekolada, kilka kartonów „Amerykanów”, kilka puszek neski, spora sterła terek z młynem, kawę, zatrzesienie „Carmenów” i niezliczona ilość kremu „Nivea”.

Spojrzałam na ten cały kram i opadły mi ręce. Co ja u licha poczęłam z taką ilością kremu „Nivea”?!! Ale gdy pomyślałam sobie, że nie minie kilka dni a moi znajomi w Niemczech uracza mnie o-



powieściami, tak to wycieczkowiec z Polski handlował na rogach ulic kawa i papierosami — spojrzałam blazeli na męża. Miał bardzo niewyraźną minę. Pytał „szefa ekipy” o ceny i liczył to wszystko do kupy na kartce wdarł się z notosu. Zerknęłam mu przez ramię. Było tego na kilkaset marek. Z westchnieniem wyciągnęłam plik burrych papierków i zapłaciłam co do grosza.

Zegnaliśmy się śpiesznie. Pan o twarzy cwaniaka pakując cały ten szmugiel do podręcznych toreb i leci za nami korytarzem. Na dole pomaga nam to wszystko opychać w samochodzie. Diabli mnie biora! Niechże się to już raz skończy! Sympatyczny pan o twarzy cwaniaka ścisła nam ręce i mówi poufale:

— Jeszcze pan na tym zarobi, panie doktorze — ceny jak dla brata...

Zatkała mnie ta bezczelna pewnością z jaką ten sympatyczny pan wzięł nas za coś w rodzaju pośredników w nielegalnym handlu. Spoglądałam na nas okiem pełnym zaskoczenia. „Ci muszą robić interesy!”

W taki to sposób przez kilka tygodni iedliśmy polską szynkę, piiliśmy polską kawę, paliiliśmy polskie papierosy, a wszelkie moje znajome smarowały się za darmo kremem „Nivea” od słów do głów, fundusze któreśmy w ten sposób zmarnowali, zapisaliśmy na straty — dla honoru domu.

Pewnego razu zdarzyło się coś, co gruntownie zmieniło mój pogląd na sprawę. Byłam w teatrze, gdy wezwano mnie do telefonu. Dzwonił jakiś pan, który na kilka dni służbowo przyjechał do Niemiec. Pan ten powiedział mi, że ma do nas interes, a kiedy spytałam go o co chodzi, oświadczył, że „nie może przez telefon”.

Znowu rozmowa jak z Sherlocka Holmesa. „Nie mo-

że przez telefon”, ale przyciekał służbowo. A przecież ci, którzy jedzą służbowo, z reguły nie handlują. Może to jakiś wtyłek? Koniec końców, kazalam mu wpaść do nas wieczorem.

Jakoż i zawił się — dzieńtemel na każdym calu. Pan w sile wieku, bardzo elegancki i wytworny. Ciemny garnitur, śnieżysty gors koszuł (popelina), lśniące buciki. Rozmowa, choć stale jeszcze trochę na dystans, zaczynała się rozkładać. Zrobiło mi się nagle wstyd. Wstyd, bo przecież po naszej porannej rozmowie telefonicznej prawie, że wzięłam tego eleganckiego pana za szmugiera. Podalam kirsza i orzeszki w soli.

— Chyba bardzo trudno tutaj?... zauważył w pewnej chwili elegancki pan — i do krótkiej pauzy cignął już bardziej konfidencjalnie.

— Po prostu chciałem... no... chciałem, proszę państwa, sprzedać trochę dolarów. Czy państwo uwierzywa, że nie znalazłem nabywcę?

— I nie znalazł pan — przecielam dość lodowato te żale. — Od czasu jak stanął mur w Berlinie, skończył się grubszy szmugiel na Zachód.

Elegancki pan wydawał się szczerze zmartwiony. Nie zwrócił nawet uwagi na brzydkie słowo „szmugiel”. — Wszyscy pytali tylko o kawę i papierosy. — Ciągnął elegancki pan. — Ale przecież nie będe się ośmiesział i handlował takimi głupstwami. Może państwo coś wiedział?.. A może państwo sami?...

Eleganckiego pana pozbyliśmy się dość szybko. Po prostu powiedzieliśmy mu nasze zdanie na ten temat i to nie oglądając się zbytnio na słowa. Zegnaliśmy się, życzyliśmy mu tylko, by jeśli to już miłoby być nienukione — wpadł na granicy ze swoim baneczkiem raczej już do polskiej stronie.

Wdarzenie to zmieniło radykalnie nasz stosunek do wycieczkowiec handlarzy. Przelaliśmy kupować szmugiel. Doszliśmy do wniosku, że kłopoty, jakich sobie od czasu do czasu musza napychać ci eleganccy panowie i panie, podzielała, być może, na nich w sposób bardziej pedagogiczny, niż nasza laodurna filantropia.

Przekraczając granice obserwowaliśmy zawsze z ciekawością prace funkcjonariuszy Urzędu Celnoego. Dlaczego jednych przepuszczają, a innych zatrzymują? Wszakże to, co oni robią, to „na nosa”, czy według jakiegoś klucza.

Kiedyś musieliśmy czekać chwilę na warunkowa odprawy samochodu. Wywiała się pogawedka. Wówczas zauważyłam, jak to się dzieje, że tak rzadko załaziła mi do kufra wozie.

— Bo, proszę pani, ludzie wliczający się za granicę służbowo, tak jak państwo — nie handluja. Po prostu im się to nie oblica. Mają prawo przywieźć do kraju wszystko, co sobie kupili za granicą, a pieniądze przekazać do PKO.

Nie potrzebowała długo liczyć, żeby przyznać mu rację.

— Ale za to — ciągnął mój rozmówca — za to niedawno odrzuciłam autobus wycieczkowy. Towarzystwo lechało na dwa dni. Wytraszaliśmy z autobusu kilka worków szmuglu. Samego kremu „Nivea” było ponad czterysta opakowań. Bywała ta, która jedzą tylko po to, żeby oddać szmugiel pod wiadomy adres...

Uśmiechnęłam się dyskretnie. Przypomniała mi się nasza lipska przegródka.

— Pan nam poda jakieś nowe adresy, panie doktorze!...

Niemcy

W poważnej, liczącej się w świecie prasie zachodnioeuropejskiej, ukazały się w tych dniach dość liczne reportaże o wojskach amerykańskich i angielskich stacjonujących w Niemczech zachodnich. Uwagę zwracają dwie zwłaszcza pozycje. Jedna zamieszczona w paryskim „Le Figaro”, druga w hamburskim „Die Welt”. W artykule z „Le Figaro” pod tytułem „Les Americains en Allemagne” czytamy:

— „Najbardziej obecnie pogardzanym ze wszystkich Amerykanów jest bez żadnej wątpliwości mister McNamara. Wielu utrzymuje, że amerykański minister obrony narodowej nie po to tak często przelatuje Atlantyk, by wzmocnić sojusz z Republiką Federalną, ale po to, by skłonić rząd Niemiec do większych zakupów broni w Ameryce, po to, żeby wyciągnąć z Republiki Federalnej tyle dewiz, ile to tylko jest możliwe. Sprawa „Starfighterów” jest pod tym względem dostatecznie znana... (—)”

Przecietny jednak mieszkaniec Frankfurtu, Monachium czy Hamburga rozumie przy tym dość prosto. Pragnie, aby jak największe wojska amerykańskie pozostały w Niemczech jak najdłużej. A Francuzi? Francuzi niech też zostają. Ludność niemiecka żyje w doskonałych stosunkach z wojskami francuskimi. A co z Anglikami? No, wiec Angliey niech już lepiej przeprowadzą się z powrotem przez kanał, jeśli utrzymanie wojska w Niemczech jest dla Anglików takim ciężarem, że grozi zachwianiem równowagi budżetu państwa. Natomiast obecność żołnierzy amerykańskich Niemcy traktują jako coś absolutnie koniecznego, jako imperatyw nie podlegający żadnej dyskusji.

Niedawno Amerykanie wycofali z Niemiec 15 tysięcy żołnierzy.

Podniosła się burza protestu. Domagano się powrotu tych żołnierzy. Zaczęło też zadawać sobie pytania, czy aby wojna w Wietnamie nie zagraża bezpieczeństwu Niemiec, czy aby nie osłabi zdolności obronnej Zachodu. To zresztą kwestia rachunku i zimnej kalkulacji, a nie kwestia sentymentu. Nie jest to kwestia sentymentu dlatego, że praktycznie rzecz biorąc armia Stanów Zjednoczonych nie utrzymuje z niemieckimi autochtonami żadnego kontaktu. Ta armia, licząca 215—220 tys. żołnierzy przebywa w zamkniętych, odizolowanych rejonach w Bawarii, przede wszystkim w Wirtembergii i Hesji, w Keiserlautern, w okolicach Bambergu, Augsburga, Norymbergi... Najczęściej oficjerowie a nawet żołnierze tej armii, mieszkają razem z rodzinami, korzystają z własnych sklepów, własnych boisk sportowych, kin — „moovies”, także z własnych podmiotowości i środków. Doktor Moennig, przewodniczący federacji zmierzającej do międzynarodowej wymiany uczniów i profesorów tak scharakteryzował sytuację:

— Mamy tu w Niemczech 4 tysiące pedagogów i 80 tysięcy uczniów, którzy z Niemcami leżą wcale nie zetknięci. Niedawno spotkałem w Heidelbergu jednego z wychowanków tych zamkniętych szkół. Amerykański student pytał mnie czy to prawda, że w Heidelbergu jest jeden taki zamek, który warty by zwiedzić. Pomyślałem tylko, on poważnie pytał, czy w Heidelbergu jest coś godnego zwiedzenia... w Heidelbergu...

Podobna atmosfera zupełnej izolacji panuje w pobliżu samego Monachium, w pierścień, który tworzą dawne koszarzy „Goeringa” w Perlacherforst. Ponure i dość zaniedbane budynki są rozdzielone murami, któregoś nikt z dorosłych nie odważa się przekroczyć. Ten fenomen wciąż trwa i zaskakuje nie tylko samych Niemców, ale też amerykańskich urzędników, odpowiedzialnych za ułożenie dobrych stosunków między armią i ludnością cywilną. O tej atmosferze dużo się też mówi w amerykańskich konsulatach, których tutaj pełno. Konsulowie czynią rozpaczyliwie wysiłki, aby zdobyć

szturmem wszystkie te dobrze bronione twierdze izolacji. W Monachium postawiono nawet olbrzymi „Amerika Haus” — przy „sztamtischach” urzadza się tu spotkania amerykańskiej i niemieckiej młodzieży. W każdy czwartek młodzi spotykają się przy piwie, aby lepiej się poznać, przy okazji również podyskutować. Dotychczas nie udało się jednak wprowadzić jakiegoś wyraźnego zmiławy na lepsze. Twierdze izolacji stoją. W ich obronnych murach nie zauważono żadnych wylomów.

W Niemczech powstała wiec „Mała Ameryka”, która rozprowadza własnymi gazetami — Stars and Stripes — i własnymi radiostacjami, opracowywanymi specjalny program dla sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych. Potężnej stacji „AFN” słuchają zresztą także Niemcy. Program tej stacji składa się z pogadanek, instruktaży, z psychologicznej propagandy, muzyki i wielu audycji o charakterze wybitnie rozrywkowym. Co godzinie stacja nadaje dzienniki. Niekiedy twierdzą, że anteny „AFN” są potężniejsze niż jakiejkolwiek innej radiostacji, nawet w samych Stanach Zjednoczonych.

Silne wrażenie wywarły na mnie dawne koszarzy „Luftwaffe” niedaleko Frankfurtu. Obok znajdowało się pole startowe słynnego zepelina „Hindenburg”. Cały ten obszar roi się teraz od tłumów amerykańskich wojskowych i funkcjonariuszy cywilnych. Kierowca, który mnie wiozł tamtędy wybuchnął nie bez ukrytej żłości:

— Niedługo dojdzie do tego, że sami nie będziemy pewni czy jesteśmy u siebie w domu, w Niemczech.

Potem wskazał jakichś bardzo odległy punkt na horyzoncie i dorzucił:

— Tam leży wieś, która się nazywa Patreick Henry. Nikt z nas nigdy tam nie chodzi. Amerykanie woła, żeby ich tam zostawiono w spokoju. Mała do tego prawa. Ale z ich uczciwością nie jest w porządku, skoro nas zmuszają, żebyśmy kupowali ich przestarzałe aeroplany...”

NIEMCY I ANGLICY

Reportaż zamieszczony w „Die Welt” nosi dość znajomy tytuł — „Soldaten, Schillings, Zivilisten” — jego autor odwiedził Bielefeld, Minden i Herford, a więc miejscowości, w których rozlokowane są angielskie garnizony:

— „Na ścianie koszarowego budynku pod wrytym w kamieniu orłem Niemieckiej Rzeszy można jeszcze odczytać dwa słowa „Ehre und Freiheit” — honor i wolność. Dalsze słowa zostały zatarte i wymazane. Na dziedzińcu koszar w Minden tylko przez kilka dni rozlegał się głuchy rytm podkuty butów niemieckich żołnierzy. Ale już od 21 lat gospodarza tu Szkoły w swych „spółdzielcach”. W Niemieckiej Republice Federalnej znajduje się 51 tysięcy brytyjskich żołnierzy tworzących tak zwana „Armie Renu”. Prawie 30 tysięcy z nich może w każdej chwili wynieść się za kanał, jeśli Wilson myśli na serio o urzeczywistnieniu swego planu dużych oszczędności. Jaka jest opinia o programie Wilsona mieszkańców garnizonowych miast, także samych żołnierzy?

Wpierw zairzymy do Bielefeld.

Naprzeciw koszar rozłożyły się przy Detmolder Strasse 3 restauracje i kawiarnie. W miejscu gdzie zaczyna się rejon wojskowy wielkie tablice w języku angielskim ostrzegają ludność przed przekroczeniem strefy zastrzeżonej. Czasu kiedy to „Lilli Marlen” stała pod latarnią przed koszarową bramą, należało do bezpowrotnej przeszłości. Garnizonem w Bielefeld dowodzi generał John Mogg. Pod jego rozkazami w samym tylko mieście znajduje się 2500 Brytyjczyków. Są prawie niewidoczni, żyją w swoim zamkniętym świecie. Na terenie koszar pracuje prócz tego 1750 Niemców oraz 600 cudzoziemców różnych narodowości, którzy zaraz po wojnie jako „DP” przebywali w obozach dla osób przesiedlonych. Azkołwiek Bielefeld liczy zaledwie 172 tys. mieszkańców, to jednak Brytyjczyków nigdzie nie widać. Może z tego względu nie rzucają się w oczy, że po służbie chodzą w cywilu?

Żołnierze przebywali tutaj prawie zaw-

EWA SIEMIŃSKA

DWADZIEŚCIA LAT Wytwórni Filmów Oświatowych

30 września Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi obchodziła uroczystości swoje dwudziestolecie. Zasłużonym pracownikom przyznano z tej okazji 9 Odznak Zasłużonego Działacza Kultury, 5 Odznak Honorowych m. Łodzi i 4 Odznaki Honorowe Województwa Łódzkiego. W związku z jubileuszem, na którym podsumowano osiągnięcia Wytwórni, chcemy przypomnieć społeczeństwu, jaka funkcja pełni w naszej kulturze film o-

światowy i jaka jest jego historia tak przecież nierozdzielnie związana z losami Wytwórni.

Film oświatowy niesłusznie traktowany jest w kinematografii, jak przysłowiowy „kopciuszek”. Niezmiernie rzadko zajmują się nim krytycy, którzy raczej go dostarczają w najlepszym razie podczas krakowskie-

go Festiwalu Filmów Krótkometrażowych. W świadomości przeciętnego odbiorcy słowo „film” kojarzy się jedynie z długim metrażem, z filmem fabularnym, o którym pisze się i mówi bez końca. Film oświatowy jest nieefektywny, oby jest mu cały ów blizki i aura niezdrówiejszej sensacji. Jaka często towarzyszy filmowi fabularnemu. Wybitne pozycje z dziedziny oświatowej przechodzą u nas niezauważone i przemleżone, podczas gdy pisze się recenzje i robi wielki szum, nawet wokół wątpliwej wartości — a powiedzmy szczerze: cząsteczek kabotyńskich — filmów fabularnych. A przecież polski film oświatowy znajduje się w czołówce światowej. Świadczy o tym liczba 119 nagród zdobytych na festiwalach międzynarodowych. Świadczy ekspert, który wynosi obecnie około 100 transakcji rocznie i przynosi nam równie dużo chwały co dewiz. Do 1965 roku włącznie zawarto w sumie 57 transakcji, a w samym roku 1965 było ich 117. Kiedy skończyły się „tuste lata” naszego filmu fabularnego, obchryzane miłaniem „szkoły polskiej” i kiedy praktycznie nie mamy co pokazać na międzynarodowych przeglą-

dach i festiwalach, a to, co pokazujemy, nie przynosi nam zaszczytu, — film oświatowy zdobywa dla nas nagrody i wyróżnienia. W 1965 roku przyznaliśmy ich 16. Były między nimi główna nagroda w Bergamo dla znakomych „Interpretacji” J. Brzozowskiego, wyróżnienie w Lipsku i „Srebrny Delfin” w Teheranie dla „Moje, nie dam” J. Zukawskiej, „Brzozywy Byk” w Padwie i dyplom honorowy w Sofii dla „Przemian w stali” J. Arkusza i W. Powady. W bieżącym roku — jak dotąd — 6 filmów uzyskało nagrody międzynarodowe: „Suchy dok” J. Bressera i W. Mickiewicza, „Helioplastyka” J. Brzozowskiego, „Krew krawca” J. Arkusza, „Węgiel i technika” A. Dornalewskiego i T. Nowaka oraz „U brzegów Skandynawii” W. Puchalskiego i J. Czecha. Niezwykłym rekordzistą-laureatem jest film Karola Marczka „Praca serca zarodka troci”, który zdobył aż 8 międzynarodowych nagród i wyróżnień. Te liczne nagrody dla polskiego filmu oświatowego świadczy o poziomie i randze tej dziedziny twórczości na roli światowym. Papierem na owa ględę z łepiej strony. Tym, co nadaje ton współ-

czesnej kulturze, co najpotężniejszą oddziałuje na szerokie rzesze odbiorców, jest dzięki rozwojowi filmu i telewizji obraz. Zjawisko to jest na tyle znaczne i powszechne, że wstępuje w takim nasileniu, że niepokoi wielu psychologów, którzy upatrują w tym niebezpieczeństwo dla umysłowości ludzkiej w skali społecznej. Człowiek współczesny przyzwyczajony do atakowania go wszelkimi obrazami, wierzy w obraz, czerpie zeń swoją wiedzę o świecie. Jest w tym zapewne trochę wygodnictwa: skłonność do biernego poddawania się wizualnej informacji, ale z całą pewnością jest też odrobina sceptycyzmu — niewiary w słowo. Człowiek współczesny ma w sobie coś z niewierzącego Tomasza; wyznaje zasadę — pokaz mi, a uwierzę. Zbyt często bowiem zawodzą go słowa, którymi pokrywały fałszywe idee. Ta uprzywilejowana sytuacja obrazu, fotografii, otwiera olbrzymie perspektywy przed filmem dokumentalnym i oświatowym. Ow ostatni może być i jest potężnym środkiem przekazywania społeczeństwu wiedzy o osiągnięciach nauki, techniki, przemysłu, szerzenia wiadomości o kraju,

o sylwetkach najwybitniejszych ludzi, o dziełach sztuki i artystach, o kosmosie i świecie widocznym pod mikroskopem. Stąd olbrzymia rola kształcąca, wychowawcza filmu oświatowego u nas w kraju, a informacyjna i propagandowa za granicą. Tym tłumaczy się wielka ilość filmów robionych przez Wytwórnię. Do chwili obecnej wyprodukowano w milionowym dwudziestolecu 1407 filmów oświatowych. Większość stanowią wśród nich filmy popularnonaukowe (do końca 1965 roku było ich 643), potem idea pod względem ilościowym filmy instruktażowe (453) i wreszcie filmy szkolne (232).

Film oświatowy ma swoją tradycję. W latach trzydziestych jego produkcja zajmowała się kilka drobnych wytwórni. W Instytucie Filmowym utworzonym przy Ministerstwie Przemysłu i Rolnictwa powstało szereg filmów dokumentalnych prace badawcze naukowe różnych specjalności. Filmem szkolnym opiekował się Instytut Filmowy przy Polskiej Agencji Telegraficznej. Trudno ustalić dokładnie ile filmów oświatowych powstało w dwudziestolecie międzywojennym. W opar-

i Amerykanie

szę. W każdym razie od czasu kiedy Fryderyk II przekształcił starożytny zamek w koszarzy wojskowe. Ale obecnie obecny wojsk uświadomiono sobie w tym mieście całkiem niedawno. Z pewnego odepnienia wyrwały mieszkańcy Bielefeld uderzenia bombów i dzwinki angielskiego marsza paradnego na torze zwycięstwa w wrót miasta. Generał Mose urządził tu świętowanie paradu, która ogłądała 20 tys. obywateli Bielefeld. Raptem uświadomiono więc sobie, że obecność Brytyjczyków na kontynencie jest wciąż bezspornym faktem. Ale tych 500 maszerujących na paradzie m. zykantów nie zastąpił przecież żołnierz który być może zostanie przesłany do Anglii. Co istotne z faktem tym rząd Republiki Federalnej chce nie chęć, będzie się musiał pogodzić... (—).

— W naszej armii wszystko się zmienia w zależności od potrzeb — tłumaczył porucznik Greagh w koszarowym biurze. — W Wielkiej Brytanii nie ma obywatelskiej służby wojskowej. Dopuszczalnym armia zawodowa, w której służy się w zależności od kontraktu od 6 do 21 lat. Służymy wszędzie tam, gdzie powiewa „Union Jack”. Służymy wszędzie tam, gdzie tożsamość naszą królowa... (—).

Brytyjczycy 160 dni w roku spędzają poza koszarami na ćwiczeniach poligonach. Każdy żołnierz korzysta w ciągu roku z miesięcznego urlopu. Urlop generała trwa 45 dni. Pozostała część roku Angielcy spędzają w koszarach, przy czym ciążą im im brzośmina o obowiązku utrzymywania porządku w stoczniach z miejscową ludnością. To brzośminienie było szczególnie aktualne dla „Armii Remi”, która zresztą na tyle wspólnego z Remem co z Dunalem, w 1962 roku.

Wtedy to doszło do głośnych starć w Minden między żołnierzami brytyjskimi a ludnością cywilną. Tło tych zdarzeń było dość nieoczekiwane. Miejscowy restaurator puścił złośliwą uwagę pod adresem Szkoły z oddziałów „Cameronians”. Szkoła była stonkowo małego wzrostu, więc restaurator nazwał ich karłami. Część brytyjskiej prasy poświęciła wypadkom w Minden stosunkowo bardzo dużo miejsca. Pisano: — Zobaczcie tylko jak się wiedeźle nazywają chłopców na drugiej stronie kanału... — Już wówczas niektóre gazety angielskie używały przyzwyczajenia brytyjska opinii publicznej do nieuchronnego wycofania części angielskich wojsk z terytorium Niemiec... (—).

Dla ustalenia nastrojów, jakie wtedy nawiązywały wśród brytyjskich żołnierzów do Niemiec wybrało się 8 osób z Izby Gmin. Posłowicie dokonali szczegółowej inspekcji. No i wtedy wyszło na jaw, że Angielcy wola stacjonować w Niemczech, niż gdzie indziej nie dlatęgo, że polubili kraj i ludzi, ale z tego względu, że mieszkańcy w Niemczech są zniośniejsze, w oświele warunki życia lepsze. Zawodowy żołnierz myślał przede wszystkim o uciążliwym i ciężkim kapitulu. Myśli o tym, żeby natychmiast po opuszczeniu wojska otworzyć jakiś sklepik lub warsztat naprawy w Blackpool albo w Sheffield. Reszta jest mu obojętna.

Od czasu wypadków w Minden przedsięwzięto kroki, które mają skłonić Angielców do pozostania w obrębie koszar nawet po służbie. Tak więc na terenie koszar otworzone nowe kina, kluby, urządzono dodatkowe sklepy, nie zapomniano także o placach do gry w kricketa. Wprowadzono też lekcje języka niemieckiego. Cieszą się one raczej nikłym zainteresowaniem. Czy te kursy są dobrowolne? — Zapytano o to officer angielski wykrzywił się: — No wie pan, ja bym raczej w wojsku unikał słowa „dobrowolny”... (—).

Jakie mogą być następstwa ewentualnego wycofania wojsk brytyjskich z Bielefeld? Przeważa zdanie, że te następstwa będą ledwo zauważalne. Można się jedynie uwi-

docznić w pewnym spadku obrotów w tych sklepach, które są położone w bezpośrednim sąsiedztwie koszar. Być może część starszych już robotników którzy teraz pracują dla Anglików miałaby później trudności ze znalezieniem nowej pracy. Pewna ulga odczułaby natomiast ówczesny urząd miejski, który wydałby karty wędkarskie. Z wielkim spokojem oczekuje się też ewentualnego wyjazdu Anglików z Herford. Brytyjczycy zajmują tu od 1958 roku całą wydzieloną dla nich dzielnicę mieszkaniową. Ten spokój, który panuje w tym mieście nie należy jednak łączyć z wydarzeniami, które tu nastąpiły przed paroma laty i które stały się wówczas głośnie w całym Niemcwie. To właśnie w Herford wysiedleni obywatele miasta wdarli się śmia do zarekwizowanych przez Anglików mieszkań i tam się „okopali”. Od tego czasu Angielcy oficerowie nie szedzą starych, by wspaniałe ludność z wojskiem układało się o smutnie... (—).

W niczym to jednak nie zmienia faktu, że dystans między Brytyjczykami a ludnością jest po dawnemu wielki. Prawie 3000 Anglików z rodzinami mieszka w zamkniętym nielato getcie, „Wenworths-Barracks” zostały tak zorganizowane, że żołnierz znajduje na miejscu wszystko czego pragnie. Tak więc nawet oficerowie podkreślają, że kontakt wojska z ludnością po prostu nie istnieje. Zresztą sami Angielcy czują się najeżdżeni na siebie — w koszarach. Gdyby jednak pewnego dnia odeszli, wówczas zwołniliby mieszkania, które zajmują. Tym samym w Herford rozwiązano by problem mieszkaniowy. Jest on palący, w mieście szuka mieszkań 800 osób. To jednak wcale nie oznacza, że Angielcy żołnierze kompulsy przeszkadzają. Żyją przecież we własnym środowisku. Pobierają od 17 do 26 sztyngów dziennie w zależności od kontraktu. Jaki podpisali. Jeśli kontrakt jest dłuższy wówczas stawka odpowiednio wzrasta. Po uchyleniu kontraktu natychmiast pakują manatki i wyjeżdżają do rodzin.

Jeśli kapral ma żonę i dziecko, wówczas korzysta z 3-pokołowej kwatery. Angielskie dzieci wędrują na ulicy w Herford i tak owe „Alice z krainy czarów” albo jak mała lordowie. Dzieci są doskonale ubrane. Ale na tych ubrankach żaden niemiecki krawiec interesu nie zrobił. Tekstylia i konfekcja nadchodzi do Herford wrost z Wielkiej Brytanii. Wszędzie bez wiatku skienkierzy twierdzą, że więcej gotówki w ich sklepach zostawiała cudzoziemscy robotnicy, niż ci opanowani i powściągliwi Angielcy. Z drugiej strony nie kryją szacunku dla Wszechwładcy. Angielcy nie są nie ocha w sklepach pierwszy, stoi spokojnie i czeka swej kolejki.

Symbolem braterstwa i pojednania jest w Minden co roku i września. W tym dniu Niemcy i Angielcy składają wiananki kwiatów pod pomnikiem historycznej bitwy pod Minden, stoczony w 1759 roku. „Minden-Day” jest uroczystością, która już weszła do angielskiej tradycji. Ale to wcale nie przeszkadza władzom miejskim rzucić ukradkowe, także łapczywe spojrzenie na budynki mieszkalne zajmowane przez angielskie wojsko. Spogląda się na te budynki do dziś dzień, chociaż miejscowa ludność dawno już przywykła do widoku „Union-Jack’a” i do wojskowych samochodów w ciemnoniebieskim kolorze, o których lud powiada, że chyba pamiętają bitwę pod El Alamein... (—).

J. B.

chi o posiadane dane ilość te szacuje się na około 300 filmów. Były wśród nich filmy biologiczne dziesiątego nastoletniego oświatowego, pracujące w Wytwórni Karola Marczaka i jego żony Marty. Były interesujące pod względem formalnym i ciekawie umiujące treści dydaktyczne filmy tworzone przez realizatorów z kręgu Stowarzyszenia Młodzi Filmowców „Start”.

Po wojnie produkcja i rozpowszechnianie filmu oświatowego zajmował się Instytut Filmowy powołany do życia dekretem z listopada 1945 roku. Pierwsze filmy powstały w r. 1946: „Lopuszna — ziemia nieznaną” Makarezyńskiego, „Wielka” Brzozowskiego i „Pod wodną skarpą” oraz „Każdą Czarna” Marczaka. Wraz z nimi przyszedł pierwszy sukces: „Wielka” zdobyła Grand Prix na Festiwalu w Cannes. W latach 1947-49 powstało rocznie około 9 filmów oświatowych. Wskutek reorganizacji z Instytutu Filmowego wyodrębnił się pod koniec 1949 roku Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa i Wytwórnia Filmów Oświatowych w Łodzi powołana dekretem z dnia 29 grudnia 1949

roku. Nastąpiło zrewolucjonizowanie produkcji, która pod względem ilościowym skoczyła w 1950 roku do 37 filmów, a w 1951 r. doszła do 101 pozycji. Sukcesem ilościowym towarzyszyło prestiżowe, obsługane dziełki podejmowane przez filmy ciekawej problematyki oraz nadawanym im interpretacji, niebanalnej formy (35 nagród międzynarodowych zdobyto w latach 1957-1960).

Produkcja Łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych jest niezwykle różnorodna pod względem tematycznym. Prym dzierży film biologiczny (plekne fotografie, świetna obserwacja tainików życia fauny). Należą do nich pozycje przyrody największą ilość nagród. Powstała w Wytwórni reportaż przyrodniczy, filmy medyczne, filmy wychowawcze dla dzieci. Specyficzny, niezwykle atrakcyjny obraz ze względu na sam przedmiot, stanowią filmy o sztuce. A także filmy o osiągnięciach współczesnej techniki. Nawet kosmonautyka wkroczyła już do Wytwórni. Zaletą się nie dwoją z nęstora filmu oświatowego — Janusz Star w „ABC kosmonautyki” pierwszym filmie z zamierzonego cyklu „ABC kosmonautyki”. Reżyser ten pracuje obecnie nad bardzo cieka-

wym tematem „Dwa warianty wyprawy księżycowej” — filmie o radzieckich i amerykańskich planach kosmonautycznych. Miałby się ochotę zawałał słownymi poety „natrząca, patrzeć młodzień...” Bo naprawdę temat J. Star sa wyjątkowo „młode, śmiałe i ambitne. Film o kolorowej telewizji pt. „Kolorowe sny” to przecież także dzieło tego reżysera.

W Wytwórni Filmów Oświatowych pracuje około 60 reżyserów i operatorów. Nie sposób wymienić wszystkich zasługujących. Nie sposób wspomnieć nawet o najważniejszych tytułach. Dobrych Wytwórni jest olbrzymi i dokonyuje bilansu po minionych 20 latach naprawę jest się czym poszczęśliwie. A — co najważniejsze — można żywić nadzieję, że Wytwórnia nie spocznie na laurach, że nadal film oświatowy będzie rozwijać się i odnosi sukcesy. Dotychczasowe doświadczenia pokazują, że w przeliczeniu do filmu fabularnego jest to dziedzinie o dość wyrównanym poziomie, nie przyzwyczajenia tych nie kończących się immasów i krzyżów jest to dziedzinie wręcz niezawodna, że można na nią liczyć.



IAN KOPROWSKI

W Berlinie i gdzie indziej

Dopiero w Warszawie, na dzień przed wyjazdem do Berlina, dowiedzieliśmy się, jaki jest cel naszej podróży. Strona niemiecka dostarczyła program spotkania i rozmów już dawno, ale spożywał on sobie w biurze ministerialnym referenta, który się, widocznie, całą tą sprawą bitylnio nie przejął. Jesteśmy skonstruowani. Program przewiduje referat naszej delegacji, a my nie takiego nie mamy i nie zdajemy już przygotować. Jedziemy z nadzieją, że dwóch twórców imprezy polskiej pomoże nam wyjść z bólem z tej sytuacji.

Berlin wita nas słoneczną pogodą wesołą. Mówimy: złota polska jesień w Berlinie. Po wojnie jestem tu już po raz piąty. Od ostatniego mego pobytu przed czterema laty wiele się zmieniło. Rzucą się w oczy nowe domy: wysokie, solidne, o pięknych tynkach i okładzinach. Czy tu lepiej budują, czy mają lepsze materiały? Pytanie narzuca się samo. Nasze otynkowania nowych domów wyglądają o wiele gorzej. Pierwszy dzień spędzamy na zwiedzaniu miasta. Mieszamy o początku Karl-Marx-Allee w hotelu „Berolina”. Pełno w nim cudzoziemców, jest także jakaś wycieczka z Polski. Rodaków poznajemy nietrudno. Z językiem na brodzie latają od sklepu do sklepu w pogoni za jakimiś mitycznymi towarami. Zachowują się tak jakby przyjechali z krainy stepów i kamienia łupanego. Okropność!

Nazajutrz rozpoczynają się obrady. Z naszej strony biorą w nich udział wydawcy, tłumacze, krytycy i pisarze. Mamy się wspólnie zastanowić nad pojęciem współpracy na polu przekładów z literatury pięknej i uściśleniem kontaktów kulturalnych. Lista dotychczasowych tłumaczy z literatury niemieckiej w Polsce i polskiej w NRD pozostawia wiele do życzenia. Sporo książek współczesnych pisarzy polskich, książek godnych uwagi, nie ukazało się w naszych zachodnich sąsiadach, i na odwrót: czytelnik polski nie ma dostępu do wspaniałej pozycji NRD-owskich, które nie zostały jeszcze poszczęśliwie naszej przesyłane. Mówiąc językiem sportowym wychodzimy w tych zamierzeniach na remis i godzimy się, że trzeba ten stan rzeczy co rychlej zmienić. Dyskusja staje się coraz żywsza. Nie zawsze jesteśmy w naszych poglądach zgodni. Roman Karst powiada: „Prawdziwa w zrodła panuje tylko na emen tarzu”. Ktoś już tak kiedys powiedział, ale kto? Mniejsza z tym, Roman Stydowski dziwi się, że sympozjum nie przewidziało rozmów o dramacie, przecież w tym właśnie zakresie NRD może się poszczęśliwić Brechtem, Wolfem, a z młodych Hackem. Więc mów i o recepcji Brechta w Polsce. Dyskusja (czy może lepiej powiedzieć: rozmowa) odbywa się po niemiecku. Nasza delegacja zastawiona całkiem niezły wyszczepiony się tym językiem i na ogół bez większych poleknie.

Drugiego dnia kontynuujemy nasze rozmowy w lokalu wy-

dawnictwa Volk und Welt, którego dyrektor, Csollek, oświadcza na początku, iż ma wszelkie powody do radości z faktu przyjazdu naszej delegacji, gdyż jego ojciec pochodził z Polski. Wydawnictwo Volk und Welt specjalizuje się w ogłaszaniu przekładów z literatury obcych, w tym również z literatury polskiej. Ale i inne wydawnictwa, na przykład największe z nich Aufbau-Verlag, wypuszcza od czasu do czasu na rynek utwory polskich autorów. Właśnie w czasie naszego pobytu w Berlinie wyszedł nakładem Aufbau-Verlag, trzeci tom „Słwa i chwaly” Jarosława Iwaszkiewicza, który przybył na nasze obrady drugiego dnia, uświetniając je swoją obecnością. Związek Pisarzy wydał na jego cześć przyjęcie. Iwaszkiewicz jest koronną pozycją naszej literatury. W parę dni później pojedzie do Kilonii, gdzie miał się spotkać na wieczór autorskim z zachodniemieckimi czytelnikami swoich książek.

Wróćmy jeszcze na chwile do wydawnictwa Volk und Welt, powołanego do istnienia autorów obcojęzycznych. Dopiero w bieżącym roku wydało ono, po raz pierwszy w NRD, jednotomowy wybór nowel Franzisa Kafki, jednotomowy wybór dramatów Maxa Frischa i Fryderyka Dürrenmatta, a szesnasty cykl Marceliego Prousta. W poszukiwaniu straconego czasu” musi nieco poczekać, nim będzie mógł ukazać się w druku. Możemy sobie w tym miejscu powiedzieć, że dzieła wyżej wymienionych autorów od dawna już zadamowaliśmy się u nas i nie stanowiła żadnego problemu wydawniczego. Fakt ten dowodzi istnienia pewnych różnic w polityce kulturalnej NRD i Polski.

Trzeciego dnia obradowaliśmy w Halle. Jest to miasto szare, przemysłowe, przypominające trochę Łódź, w którym działa bardzo ruchliwe wydawnictwo, publikujące wyłącznie prace współczesnych żyjących autorów niemieckich i kładące duży nacisk na wyławianie i lansowanie debiutów, zwłaszcza prozatorskich. I w Berlinie i w Halle obladowano nas książkami, ale że książek tych uzbierało się sporo, nie możemy ich zabrać z sobą, lecz pozostawiamy je w wydawnictwach, które obiecały przesłać nam je na nasze adresy w Polsce. Z obowiązkowi kronikarza podaje, że wszystkie nie nadeszły do tej pory (piszę moje sprawozdanie w dwa tygodnie po powrocie z Berlina). Jest to tym bardziej dziwne, że Niemcy słyną ze skrupulatności i akuratomy załatwienia każdej sprawy. Muszę na również podać rzecz o najmniej osobliwa w dobie gwałtownego postępu nauk i techniki. Otóż postępn mamy ogromny, ale nie we wszystkich dziedzinach. Poeta, na przykład, działa mniej sprawnie, niż trzydzieści lat temu. Zaraz w pierwszym dniu, po przyjeździe do stolicy NRD, wysłałem kilka widokówek do bliskich i przyjaciół. Wiele, kiedy otrzymał oni te kartki? W dwa a nawet w trzy dni po moim powrocie do Polski. W naszych wspólnych rozmowach z kolegami niemieckimi doszliśmy do pewnych wniosków i postanowień. Pierwszy wniosek dotyczył kontynuacji takich rozmów i zgodziliśmy się, aby następne spotkanie odbyło się w roku przyszłym w Warszawie. Językiem konferencji warszawskiej będzie, oczywiście, język polski. Porozumieliśmy się także w sprawie przyznawania rocznych stypendiów dla polskich tłumaczy literatury nie-

mieckiej na pobyt w NRD oraz dla niemieckich tłumaczy literatury polskiej na pobyt w Polsce. Chodzi o to, aby tłumacz mógł poznać codzienne życie kraju, jego obyczaje, realla, język potoczny, co z pewnością okaże się wiele pomocne przy przekładaniu utworów pisarzy współczesnych. Doswiadzenie uczy, że nawet doskonała znajomość języka obcego nie wystarcza, jeśli nie idzie jej w sukurs dobra znajomość kraju, w którym rozgrywa się akcja utworów literackich. W momentach kontrowersji staraliśmy się nasze spory łagodzić humorem. Nasi gospodarze mówili do nas: „Ihr seid zu franzosisch, wir sind zu preussisch” (Wy jesteście za francuscy, my — za nadto pruscy). Miało to oznaczać, że Polacy traktują wszystko nadbyt lekko. Niemcy — nabyli pryncypialność. Okazało się, że w rezultacie, że porozumienie nie w sprawach sztuki jest nie tylko możliwe, ale wręcz konieczne, i że ostateczne cele literatury są wspólne dla nich i dla nas.

Po trzech dniach narad i dyskusji byliśmy nieco zmęczeni. Gospodarze przewidzieli i to, i na dalsze dni zawieźli nas do Weimaru i okolic, gdzie mogliśmy oglądać pamiątki historyczne i rozmawiać z ludźmi, nie musieliśmy natomiast radzić i deliberować nad skomplikowanymi problemami sztuki współczesnej. Chcieliśmy w Weimarze, Erfurcie i Naumburgu byłym już parę razy, polechałem tam z ochotą, by jeszcze raz zobaczyć w katedrze naum burskiej wspaniałą rzeźbę córki Chrobrego, Regelindy. Jest to bodaj jedyna rzeźba umieszczona w kościele, przed oltarzem, przedstawiająca śmiejąca się, pełna życia i siły witalnej twarz kobiety. Po raz kolejny tam z rzędu zszedłem także do domu Goethego i Schillera w Weimarze, oglądałem z zainteresowaniem pamiątki, a raczej pamiątki Szekspira. W Weimarze stała pamiątka Goethego, Schillera, Puszkina, Mickiewicza i inne, ale z pewnością najciekawszym z nich jest pomnik Szekspira.

Nade wszystko jednak interesuje mnie w podróżach zaradkowych życie współczesne. Bardziej niż muzeum i pamiątki historycznych ciekaw jestem tego, jak żyją ludzie, jakie są ich zainteresowania, jak wyglądają miasta i miasteczka, co grają teatry i o czym pisze prasa codzienna. Tym razem po ulicach Weimaru i Erfurtu aż do umczenia, wstawiam się w rozmowy z przygotowanymi znajomymi na ulicy i w kawiarni, oglądam wystawy sklepowe, czytalam gazety. Niestety, ani w Weimarze, ani w Halle nie mogliśmy przejść do teatru. Udało nam się za to być w Berlinie w „Berliner Ensemble” (Teatr Brechta) na sztuce legendarnego pisarza Seana O’Caseya „Purpurowy pył” i w kawiarni „Die Distel” (Oset) na programie pt. „Rewia zamknięta”. I tym razem utwierdziłem się w przekonaniu, że rzemiosło aktorskie w Niemczech stoi na wyższym poziomie, niż u nas. Proszę mnie dobrze zrozumieć: talentów aktorskich i to nawet wybitnych mamy w Polsce dużo, natomiast to, co nazywamy techniczną sprawnością zawodową, nie stanowi silnej strony naszego aktorstwa. Widąc to zwłaszcza w traktowaniu roli epizodycznych i tzw. niemych. Każdy pobyt za granicą daje człowiekowi okazję do porównań: jak jest u nich, a jak jest u nas. U nich to, za granicą jest przede wszystkim inna cześć. Nie zawsze te porównania wypadają na naszą niekorzyść. Często wracamy z takiej wyprawy podnieśniami na duchu. U nich nie jest tak dobrze, u nas nie jest tak źle. Tak czy siak, jedno wydaje się pewną ścieżką winni odwrócić się częściej, by się lepiej poznać. Bo ludzie, którzy się lepiej znają, łatwiej dojdą z sobą do porozumienia. A porozumienie w dzisiejszym świecie staje się pomocą najważniejszą.

DZIU RA

Mały i chudy był pan Leon, bardzo mierny, zaoszczędził patrzeć. Ale człowiek rzadko widzi siebie oczami innych. Siedział pan Leon na piasku, podkuliwszy nogi z ogromnymi, kanciastymi rzepkami kolan, kręcąc lewą stopą, która mu ciągle dretwiała i z uśmiechem skromności i zawstyżenia opowiadał jak poznał swoją żonę. Poznał ją przez dziurę, była taka dziurka po soku w jednej z desek oddzielających pomieszczenia baru. W jednym pomieszczeniu mieszkał on z kolegą, w drugim jego przyszła żona. Podglądał ją każdego wieczora, kiedy nie było kolegów. Stawiała na środku pokoju taboret, na taborecie miske i cała naga myła się. Myła się nie podejrzewając, że wlepione w nią jest małe, ciekawe oko, wtopione w dziurkę po soku, otoczone krawkami stołu, których ilość zależy od wieku drzewa.

Skrzyżował ręce na pierśsiach i sięgnął nimi aż do łopatek. Klepał się po nich i uśmiechał, rozrzucony wspomnieniami.

— Czemu mi pan to mówi — powiedziała nagle, sama zaskoczona gniewnym tonem swojego głosu, i oburzeniem na tego mężczyźni sprządał podglądającego dziewczynie, która ona znała jako tego, wesoła panią. Zareagował na jej słowa jak na żart i pogodnie dokończył.

— Wcale się na mnie nie gniewała, kiedy jej po ślubie powiedziałem. To wyjaśnienie podzieliła i na Daniellę. Nie miała już do pana Leona pretensji.

— Byliśmy wtedy młodzi, ach, jacy młodzi. Ale to były inne czasy. Koniec wojny, człowiek chciał żyć, nie innego nie robił tylko spokojnie żyć, mieć dom, patrzeć na niebo bez strachu, że coś nadciągnie, słuchać ciszy bez strachu, że zaraz coś się zacznie. Wy tego nie rozumiecie... Potem mieliśmy w jej pokoju takie mięle chlebki. Dziurę w ścianie zalepiłem mlekiem. Marysia zrobiła firanki, w oknie stały kwiatki na białych talerzykach, doniczki owineła bibułką, a pokój przedzieliła zasłonami na trzy pokoje, kuchnię i łazienkę. Na stole był zawsze czysty obrus, w wiadrze woda, którą przynosiłem ze studni. Zimą śnieg zasypywał drogę i brneliśmy po kolana, ale byliśmy młodzi i szczęśliwi.

— Czemu nie macie dzieci? — Tak się jakoś złożyło, że nie mamy — powiedział z zadumą. Podszedła do nich pani Marysia. Spokojna, powolna pani w żorzetkowej, granatowej sukience w białe kropki.

— No widzisz jak ładnie wyglądasz — powiedziała do Danielli. — Kiedy ubierzesz coś kolorowego od razu ładnie wyglądasz. Popatrzyła na swoje gołe, chude łydki, na kwiciastą sukienkę odkrywającą kolana z powątpiewaniem.

— Nie będzie się pani kapać — zapytała — Nie — powiedziała pani Marysia. — Ja już nie mam co pokazywać. — Ja się nie pytam, czy będzie pani pokazywać tylko czy będzie się pani kapać.

— A jak tak mówisz, to jesteś brzydka, brzydka jak zmora. Pani Marysia zagniewana odwróciła się do niej tyłem. Pan Leon leżał na plecach nieruchomo, twarz zakrył chusteczką zawiązaną na rogach w supelki.

— Posmaruj się olejkami, bo cię spieczę — powiedziała pani Marysia.

— Przepraszam. — Daniellę patrzyła na kobietę ze skruchą. — Przepraszam, nie chciałam — powiedziała kanciasto, niezrecznie. Pani Marysia czuła to i uśmiechnęła się.

— Widzisz, ja się nie gniewam, ja wiem, że ty jesteś dobra, miła dziewczynka, tylko że wy jesteście tacy dziwni, szorstcy. Chcicie być dobrzy, ale nie ma w was zupełnie ciepła ani serdeczności.

— Czemu pani powiedziała, że jestem zmora? Jestem brzydka?

Pani Marysia odciągnęła jej rękę od ust.

— Nie obrzyździł naznoki. To była nieprawda, powiedziała tak, bo mnie rozłościłaś. Zobaczyłam taką z ciebie wyrośniętą ładną kobietka. Zresztą przecież ci mówiłam, że ładnie wyglądasz tak ubierasz kolorowe rzeczy, a nie wieszacie swetry i brudne spodnie. No, nie gniewaj się, wcale nie jesteś zmora. Masz klucz.

Daniella wstała, wyprostowała się i szła powoli stawiając nieduże kroki. Na palce, na piętę, potem następny krok. Oczy miała spuszczone, wzrokiem obejmowała raz prawą, raz lewą stronę plaży, potem wierzchem dłoni odrzucała włosy z policzka za ucho i stanęła na łakach ostrej kamicy. Zawyla z bólu — Psiakrew — podskoczyła na jednej nodze kilka razy. Potem usiadła, podwinęła sukienkę i ośladała stopę.

— Co się cięszysz, bubku — powiedziała do małego chłopca, który patrzył na nią i śmiał się.

Chłopiec włożył do ust oba kciuki, pokazał jeźwi, wtrząsnął oczyma i z tą daskudną miną uciekł.

Wstała, wzdrygnęła ramionami i skierowała się do kabiny.

Klucz był duży, zardzewiał, pani Marysia nosiła go na różowej tasemce, jak bransoletkę.

Zamknęła się od środka i zaczęła się rozbiierać. Oglądała siebie w kawałku lustra, wpochniętym za poręczką belki na jednej ze ścian. Tylko, że w takim lustrze niewiele można było zobaczyć, widziała się wiecej fragmentami.

Zdęta z gwoździa kąpielówki pani Marysia i z podziwem ostrzyła jakże są ogromne. Podniosła rękę, w której trzymała kąpielówki i zaczęła tańczyć krakowiaka, potem skrzywiła się do lustra niezadowolona ze swojej chudej, pierowatej twarzy, ze steroczącego nosa. Zrobiło się jej przykro. Patrzyła na zdziwione, smutne oczy, na popękane, spierzchnięte wargi, na swoje ciało, a potem zrozumiawszy wiele sfilcowane kąpielówki z recznika i wtedy zobaczyła, że w desce na bocznej ścianie, oddzielającej ją kabine od sąsiedniej, jest dziura.

Serce w niej zamarło, bo w dziurze wyjrzała oko. W półmroku wślazła na siebie kąpielówki, drżącymi palcami zapinała guziki przy ramionach, a potem na palcach zaczęła skradać się do dziury i nagłym ruchem zakryła ją reką.

Powoli, ciągle trzymając dłoń przy dziurze, kucnęła i wstrzymując oddech, zbliżyła do niej oko.

Kabina była pusta.

Wyprostowała się, odetchnęła głęboko i nagle odczuła straszne rozczarowanie. Usiadła na ziemi, oparła brode na kolanach i patrzyła na smutny światła, które wślizgały się do kabiny szpara pod drzwiami i między deskami ścianek. Z zewnątrz dobiegały głosy bawinących się dzieci, szum morza, od kabiny odbiła się pilka.

Usłyszała dźwięk przekraczania klucza, do sąsiedniej kabiny ktoś wszedł. Przyczol-



Rys. A. Grun

gała się na kolanach do ściany i przytuliła oko do dziury.

— Kieju — mówiła młoda kobieta — myślo, że bardzo źle postąpiłam.

— A ja, Kieju, myślę, że bardzo dobrze — odpowiedział mężczyzna.

— Jak uważasz, Kieju.

Kobieta zaczęła się rozbiierać.

Daniellę czerwieniły uszy, najpierw czuła pulsowanie w skroniach, potem uszy robiły się coraz cieplejsze, cieplejsze i kiedy ich dotknęła, były okropnie gorące. Zamknęła oko przyśmięte do dziury i zatkała uszy. Potem położyła się na wznak, otworzyła oczy, patrzyła w sufit i niżej na drzwi i na próż. Zobaczyła, że smuga wymykająca się szpara pod drzwiami, drga. Wyjechała palec z uszu, poderwała się. Usłyszała głos pani Marysia.

— Daniellę, Daniellę, jesteś tam? Otworzyła drzwi.

— Zagapiłam się — powiedziała podnosząc jeden kaciuk ust do góry i cykaiąc zębami.

— Wypakie się jednak — powiedziała pani Marysia. Daniella usiadła na ziemi, tyłem do niej i patrzyła w ziemie. Pani Marysia

śmiała, wślazła na siebie kostium kąpielowy.

— Zapnij mnie — poprosiła. Daniella wstała, odwróciła się i zaczęła jej zapinać guziki przy staniu.

— Kieju, to wcale nie jest metoda pedagogiczna, zostawiać chłopca za karę w domu — mówiła kobieta za ścianą.

— Następnym razem go weźmiemy. No, nie dasz się już Kieju.

Rozległo się głośne cnioknięcie, potem krok, przekraczanie klucza w zamku.

— Patrz jak ci śnysz, Daniellę, znowu utylał.

— Faktycznie — odpowiedziała i zapytała — Ma pani chleb?

— Głodna jesteś?

— Yhm. — Daniella przełknęła ślinę. Pani Marysia wyjechała z torby, zawinęła w bibułkę kanałkę.

— Tutaj zjem — powiedziała Daniella. Pani Marysia wyszła. Daniella zamknęła drzwi, rozłożyła kromki, wyjechała plasterki kiełbasy i zjadła go.

Potem uwrzła dwa kęsy chleba, przeżuła je, wycupła na rękę i zaczęła wtykać chleb do dziury w ścianie.

SLAWOMIR ŚWIONTEK

Opowiadania o prowincji

Pisałem kiedyś o Waldemarze Babiniecu, że jest jednym z niewielu ludzi w Polsce, którzy całe swoje życie poświęcili działalności społecznej, oświatowej i kulturalnej na prowincji. Wielestronna działalność Babinieca, związana przede wszystkim z regionem kieleckim, pozwala mu jeszcze na twórczość literacką, czego najlepszym dowodem są wydane w ciągu ostatniego roku trzy pozycje książkowe. Książki te wyrażają z osobistych doświadczeń autora i tematycznie zawsze związane są z ludźmi i ziemią, której Babiniec poświęcił swoje życie, swoją wiedzę i doświadczenie.

Recenzując „raportażę pa rafiálne” Babinieca, zawarte w tomie „O babkach, nugatach i dziwnej antyfonie” pisałem, że drobne literackie tutaj zawarte stanowią coś pośredniego między raportażem, gawędą, opowiadaniem i nowelą. Autentyzm opisywanych tutaj wydarzeń świadczył o reportażowych skłonnościach autora, a świadomy zamysł i konstrukcja tych utworów zbliżyła je do opowiadania — często satyrycznego — lub do noweli.

Mówiąc o ostatnim zbiorze drobnych utworów Babinieca i stwierdzając, że w stosunku do poprzedniego mamy tu do

czynienia z wyraźnym prześunięciem akcentu z reportażu na konstrukcję opowiadania. Autentyzm reportażowy ustępuje w tym miejscu świadomością zamiaru artystycznego nie na tyle jednak, by uległy zatarciu realia prowincji, realia związane z życiem ludzi ze wsi i miasteczek, które Babiniec, jak to się mówi, zna od podszewki.

Czytając opowiadania ze zbioru „Ludzie to powiedzieli” zastanawiam się, w jaki sposób owo przesunięcie akcentu genologicznego wpłynęło na jakość i funkcję prezentowanych utworów.

W reportażach swoich Babiniec starał się ograniczyć do podania faktów; ich autentyzm i konkretność — nawet, gdy komentarz od autorski sprowadzał się do minimum — przewokowały ich określoną funkcję: nagli fakt nabierał znaczenia i wymowy społecznej. W chwili, kiedy konkretne fakty autor zaczyna poddawać obróbkę artystyczną układając je w konstrukcję zamierzonego opowiadania, wówczas musimy mieć do czynienia z pewnego rodzaju odrealnieniem fabuły złożonej z ciągu opisywanych faktów. Sam proces wyboru faktów i ich układ w strukturze opowiadania determinuje już ich określoną funkcję i wymowę. Znaczący zaczyna nie fakt jednostkowy — jak w reportażu — ale fabuła i zamysł od autorski. Należy wówczas być niesłychanie ostrożnym we wszelkich próbach uogólnień, aby uniknąć banału i truizmu.

Należy wówczas mieć do dyspozycji coś więcej, aniżeli tylko doskonałą znajomość samych faktów. Inaczej znaczenie realiów przedstawionych, które same w sobie posiadają dostatecznie silną wymowę, może ulec zbanalizowaniu i znieszczeniu. Autentyzm zawarty w ich przedstawieniu może wejść w kolizję z autentyzmem ich intencjonalnej wymowy i funkcji, którą autor usiłuje im nadać.

Jeśli opisując dość przypadkową wizytę teatru z miasta wojewódzkiego w zapadłej i zabitej deskami wsi (opowiadanie pt. „Bliżej teatru”), autor stara się stwierdzić przemianę w świadomości młodego pokolenia tej wsi — to przeczuwamy pewien fałsz i nieprawdę. Podobnie kiedy przedstawiając wybory w gromadzie, autor każe pogodzić się zwaśnionym od wielu lat chłopom z dwóch wsi. Czyżby kilkunastu zebranych mogło doprowadzić do zmiany świadomości społecznej chłopstwa i zjednoczenia się w imię wspólnych interesów? Czyżby jednorazowa wizyta teatru z miasta na wsi miała dokonać przemiany kulturalnej we wsi? Doskonale niekiedy obserwacja i opis postaci z małego miasteczka czy ze wsi koliduje bardzo często z wymową przedstawianych zdarzeń, którą autor usiłuje narzucić czytelnikowi.

Z tego też względu najciekawsze wydają się być dwa opowiadania, których intencje nie narzucają się odbiorcy w sposób podobny, jak wyżej. Są to o-

parte na ciekawym pomysłu opowiadanie pt. „Dezert” oraz napisane bez ciepłej ironii opowiadanie w formie listu młodego chłopca walczącego z bandami NSZ pt. „Braterskie poslanie”.

Wydaje się jednak, że Babiniec czuje się dużo lepiej w tych gatunkach utworów, które zbliżają się swoją formą do reportażu niż w tych, które mieliśmy prawo nazwać opowiadaniem.

Waldemar Babiniec: „Ludzie to powiedzieli”. Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1966, cena zł 12.



MARIAN DRACZYŃSKI

Portret Wyspiańskiego

Niedawno na półkach księgarskich zjawia się książka Woiciecha Natan-

sona „Stanisław Wyspiański — próba nowego spojrzenia”. Osobowość polskiego Leonarda da Vinciego zawsze fascynowała filologów. Ludzi teatru i sztuki. Do dnia dzisiejszego powstało wiele rozpraw, studiów i monografi. Poświęconych autorowi „Wesela”. Badano rozmaite aspekty życia i twórczości pisarza, analizowano wizyjny charakter jego dramatów, zaskanawiano się nad związkami poety z przeszłością. Trzeba jednak stwierdzić, że dotychczasowe studia poświęcone twórczości Stanisława Wyspiańskiego obok licznych zalet, posiadała wiele wad, odznaczała się fragmentarycznością, ubogim warszatem metodologicznym, niekiedy sięgano w nich do zbyt śmiałego eksperymentatorstwa. Znamienne jest również że przeważnie rozpatrywano twórczość autora „Wyzwolenia” w oderwaniu od jego życia, przez co umknęło badaczom wiele zagadnień i problemów. Na uwagę zasługują jeszcze jedna sprawa: — Podstawowe prace o Wyspiańskim pisał ludzie mi bliscy, przyciętę lub antagoniści, co, rzecz jasna, nie przyczyniło się do obiektywizacji sądów i opinii. Wspomnianych wad ustrzegł się autor nowego opracowania — Woiciech Natanson, stwarzając w swej książce portret tego „co teatr swój widział osromny”. Monografia została oparta przede wszystkim na materiale źródłowym, wykorzystano w niej

wszystkie ważniejsze relice i pamiętnikarskie, sięgnięto do listów poety. Natanson podał swa prace w dwóch kierunkach: — bio-bibliograficznym i historyczno-literackim. Dla uzyskania pełnego obrazu osobowości „poety-malarza” omówił również jego dzieła plastyczne. Monografia opiera się tu przede wszystkim na cennej rozprawie Jerzego Güllera. Uwzględnienie owego działu twórczości Stanisława Wyspiańskiego pozwoliło Natansonowi uniknąć poważnego błędu — dramat autora „Warszawianki” łączy się ściśle z jego malarstwem, co podkreślił kiedyś Tadeusz Makowiecki. Do zalet monografii należy również zaliczyć konfrontacje dotychczasowych sądów i opinii (niejednokrotnie sprzecznych względem siebie) z własnymi przemyśleniami badacza. Problematyka wspomnianej książki jest zbyt bogata, by można ją w pełni omówić w krótkim szkicu, ograniczę się więc do spraw najważniejszych. Woiciech Natanson jest człowiekiem XX wieku, żyje w epoce nowoczesności, stad obca stała mu się wszelka starzyzna, co widać w jego monografii, gdzie przechodzi do porządku dziennego nad młodopolskimi naciętościami w dramatach Wyspiańskiego, wskazuje na tomiast cechy zbliżające twórczość wielkiego dramaturga do naszych czasów. Bardzo silnie akcentuje nowatorstwo formalne Wyspiańskiego. — W

Mrok cichy mąciły
nasze pieśczołliwe ręce
wiatr muskał włosy
plącząc palce
i dłonie całe
my dwoje byliśmy jednym
ulatowały patetyczne słowa
głosząc światu jedność serc.

Może daleko jest gdzieś
świat i ludzie cienie
błądzą nierealne
drząc materiał
myśli nieśmiertelnej
szukają po omacku słowa
żyć.

WŁADYSŁAW HUZIK

Epitafium

Nie było tego tak wiele
jakby się można spodziewać
patrząc na popiół w oczach
patrząc na bruzdy na twarzy

nie było tego tak wiele
by można odpowiedzieć
po co się człowiek narodził
po co rozciąga się
w nicłość.

JERZY JAN BANASIŃSKI

Rozmowa liryczna

Twoje oczy są jak latarnie
które przynoszą szczęście
przed nami wagon
a na nim napis
przeznaczenie
Ty jesteś przy mnie
Twoje włosy
ich zapach
przypomina mi że jesteś
patrz
na kawałku złamanego horyzontu
siedzi wrona
nie to nie wrona
to przecinek
przecinek w zdaniu
które nazywa się życiem.

Wrocław, lipiec 1965 r.

Spokój gór

Jeżeli w ciszy drzew szumiących
Budzi niepokój głucho grzmiący
Łoskot odgłosem groźnym burzy,
Choć nie znać czy się niebo chmurzy —
To jeszcze nie to, jeszcze nie to;
Na poligonie strzelają, poeto.



ANDRZEJ KRAKOWSKI

Matce

Cmentarz
jak długi szeroki
jak czarny bezwiedny
jak cmentarz

Tu zniosą Cię
w czarnym pudełku
na czterech barkach
na linach
Pan w czerni
coś powie
co spisał na kartce
i myśli
że słowa Ciebie zastąpią
Nieprawda
nieprawda
nieprawda
nigdy nie będziesz słowem

8. X. 1965.

Moje miasto

A kiedy to miasto
Będzie szło do góry
To wielki komin
To wielkie chmury
Chmury jak dym
Przesłonią oczy
A kiedy ten wielki komin
Zaczyna dymić
To ręce
Ręce twarde
Ręce o świcie
Ze snu zdjęte
Puszczą maszyny
A kiedy te wielkie maszyny
Ułożą rytmiczną melodię
To oczy
Oczy bliskie
Oczy nizinne tak dobre
Wypatrzą gniazdo w osnowie
I wtedy to miasto idzie do góry
Miasto wyniosłe
I tylko to miasto
I tylko to jedno
Gdzie z biegiem maszyny
Jest bieg jego życia.

Tobie po smugach dymu
Tobie po cieniach kominów
Napiszę wiersz wielkoskromny

O tym jak płyniesz bez plusku
O tym jak stery masz twarde
O tym jak sztormy i wiatry
Nie nagną ci łatwo karku

Tobie moje miasto
Napiszę wiersz wielkoskromny
Wtedy gdy reka moja
Popłynie z Tobą
Zostanie twoim wioślem

ZDZISŁAW PIGOŃ

PANU IGOROWI SIKIRYCKIEMU

Zamek w Krasiczynie

Z trądem na murach i cokole
Spleśnionym od zieleni pięszcót
Z korozją herbów na wrót czole
Stoi jak brama Bieszczad.

I tylko plazma lat zaciera
Herosów kształty na plafonach,
W balowej sali gdzieś umiera
Samotna Terpsychora.

A na dnie zamku tak jak w Chillon
Więźniowie wiedzy przygarbieni
Każdy decymetr ziemi rzyją
By jak najwięcej wydrzeć ziemi.

„Protesilasie i Laodami”
krakowski dramaturg
w rozgrywaniu się akcje
wprowadza milczącą, nie-
ruchomą postać, pełniącą
funkcję manekina czy
marionety. Chwył ten
bardzo często jest stosowa-
ny w nowoczesnym
dramacie. W sztuce moż-
na poza tym wdrożyć
elementy filmu — pewne
obrazy oczom widza
przedstawione są w for-
mie cieni przesuwających
się na zasłonie. Warto
również wiedzieć, że Wy-
siański był mistrzem o-
brazowej metafory (finał
„Wesela”), prekursorem
„teatru ożywionych przed-
miotów” („Akropolis”). O-
twe sprawach autor mo-
nografii pisze przy końcu
swych rozważań, w
centrum jego uwagi znaj-
duje się problematyka
twórczości „poety-malara-
za”, zawily sens jego u-
tworów. Tutaj Wojciech
Natanson nie pomija ni-
czego istotnego, często
włącza się do dyskusji i
wypowiada własne zda-
nie. Koryguje sprawy
wpływów i rozświetla
niejasności. M. in. dzieki
niemu zaczynamy zwracać
sobie sprawę, dlaczego
oblicze Matki Boskiej
Wyspiańskiego jest gniew-
ne i surowe, spostrzegając
współczesną wymowę
„Daniela”, zapowiadają-
cego według Leona
Chwistka przwiście epoki
okaleczonych królów,
zbierających odpadki
snod stołu zwycięzcy
(mowa tu o kolaboracyjn-
ych rządach Quislin-
gów). Przykładów na
podkreślenie walorów o-
mawianej książki zna-
lżoby się znacznie więcej.

Zarówno sposobem ujęcia
treści, jak i szata graficz-
na, zdołabędzie ona u-
znanie czytelników. Nie
znaczy to, że nie nasu-
wają się przy lekturze
wspomnianej monografii
pewne wątpliwości. Wy-
czuwa się w niej dyspro-
porcje między materia-
łem biograficznym a ko-
mentarzem tekstów. Nie-
słuszne wydało się w
pracy tego typu opusz-
czenie zagadnień artys-
tycznych — dzieło lite-
rackie jest przecież nie-
rozrwalna całość (po-
dział na treść i forme-
na charakter tylko u-
mowny). Zastrzeżenia ro-
dza się pod adresem ko-
rekty, dopuszczającej
niekiedy niecelowność
Strindberga. Trochę też
razi używana przez Na-
tansona nazwa „essay”
(mamy w języku polskim
jej spolszczony odpowied-
nik). Nie pomniejsza to
oczywiście, wartości o-
pracowania, które odda
niezliczone usługi reży-
serom teatralnym, stu-
dentom polonistki, nau-
czycielom. Pierwszą zna-
da tutaj wskazówką do
nowoczesnej inscenizacji
utworów poety, pozostali
otrzymali klucz do wła-
ściwej interpretacji jego
dzieł. Wypada żywić, by
książka Natansona wywo-
łała ożywioną dyskusję
w zainteresowanych śro-
dowiskach, a tym samym
przyczyniła się do sta-
rannego przygotowania
uroczystości związanych z
60 rocznicą śmierci auto-
ra „Warszawianki” i
„Nocy listopadowej” (o
pięćdziesięcioleciu zapo-
miano). W prasie loczyła
się niedawno dyskusja w

związku ze stylem pol-
skiego teatru, zastano-
wiano się co pokazać za-
granicy i do jakich
chwyłów inscenizacyj-
nych się uciec. Może
warto by przełożyć na-
sze najwybitniejsze dra-
maty na języki obce, o-
pracować najważniejszą
obrawę plastyczną i ru-
szyc na podbóli świata.
Ogromna rola przypadnie
wówczas teatrowi Wy-
siańskiego, jeżeli nie
znieszkodzi go osobiste
gusty reżysera, często o-
parte na niewłaściwym
rozumieniu tekstu. Lek-
tura ostatniej książki
Wojciecha Natansona
przyniesie nieocenioną po-
moc tym inscenizatorom
dobrej woli, którzy cenią
prawdziwą sztukę.

LESZEK ST. RUDNICKI

„Krzywa latarnia“

Pamięć ludzka przypo-
mina mi czasem, choć to
może niezbyt elegancko
porównanie, albrzymie
silo, przez które ustawic
nie przesiewamy, każdy
na swój wyłącznie uży-
tek, okrucy zdarzeń, fak-
ty i obrazy. Niektóre z
nich, choć pozornie nie-
znaczące, okazują się jed-
nak być na tyle ważne,
iż zatrzymane, tworzą ja-
kiś pełniejszy, szerszy,
choć zmienny obraz, sta-
nowiący dopiero tworzy-
wo artystyczne. Zadaniem
autora jest uchwycenie
go, rozwinięcie i przeka-
zanie innym.

Uwagi te nasunęły mi
się w trakcie lektury o-
powiadań Wilmańskiego
(*), wywołane układem
temu i rodzajem zawar-
tych tam utworów.

Ponad trzydzieści o-
powiadań i miniatur pro-
zatorskich obejmuje szeroki
wachlarz tematyczny —
od poetyckiej impresji do
watków autobiograficz-
nych, czy też tematów u-
chwycenych w trakcie
codziennej pracy. Przy
okazji zauważyć trzeba,
że „Krzywa latarnia”
jest debiutem prozators-
kim Wilmańskiego, zna-
nego dotąd z publikacji
poetyckich. I jak na de-
biutanta, obserwujemy
tutaj warsztat sprawny,
operujący szerokim asor-
tymentem środków for-
malnych. Z pewnością
pomocno było tutaj do-
świadczenie wynikające z
pracy dziennikarskiej,
choć jak dotąd, zdania
na temat przydatności
dziennikarki w pracy li-
terackiej są podzielone.

Jak na owym sicie, tak
i tutaj trafiają się dro-
biażki mniej ważne, nie
przemawiające do czytel-
nika tak jak pozostałe
(„Tygiel”, „Sprawa”,
„Śmiech”), na szczęście
jednak jest ich bardzo
niewiele. Zupelnie ina-
czej brzmią w tym zesta-
wieniu pół-poetyckie im-
presje tego typu, co np.
„Okno”, „Powrót”, czy
„I wciąż myślę o tobie”.
Odzywają tutaj w no-
wym świetle poetyckie
ambicje Wilmańskiego,
dając w rezultacie dobrą
i interesującą prozę po-
etycka.

Trzeci wreszcie, biorąc
pod uwagę podział tema-
tyczny, rodzaj, to utwory
o pewnej fabule, mocno
osadzone w realiach dnia
zwykłego, przeciętnego
człowieka. Czy to będzie
opowieść o dziadku Mi-
chale, czy o starym Pu-
chale, czy wreszcie no-
wele „W podzię”, „Na-
szą brygada”, czy inne.
Dobrze zarysowane, pełne
sylwetki bohaterów,
układ wydarzeń i wresz-
cie interesujące zaznaczo-
na pointa, wszystko ra-
zem tworzy współgrającą
całość.

Wilmański należy do
dobrych obserwatorów. Z
natłoku zdarzeń i postaci
wyciąga te, które dzięki
jakimś indywidualnym
cechom, czy też dzięki te-
mu, że stały się bohaterami
ciekawych splotów
zdarzeń, awansowały z
grona anonimowych prze-
chodniów do rangi swois-
tego symbolu literackie-
go. Jest to przy tym pi-
sarz łódzki. W swych u-
tworach porusza się po
znanych wszystkim czy-
telnikom ulicach, odwied-
za miejsca, w których
bywamy niemal codzien-
nie, nie dostrzegając tego
co się w nich kryje, spo-
tykając tych samych lu-
dzi i przechodząc bez
zwrócenia na to wszyst-
ko uwagi.

Jest w tej książce jesz-
cze jedna grupa opowia-
dań. Są to utwory niejako
autobiograficzne, może
nawet przeważające w
tomie. Nie ma się czemu
dziwić. Każdy pisarz u-
siłuje najpierw dokończyć

swoistego rachunku su-
mienia. Uporać się i roz-
liczyć z tym, co przynio-
sło mu jego własne ży-
cie. Stara się podsumo-
wać własną osobowość.
Ba, są pisarze i to uzna-
ni, którzy nigdy nie wy-
szli poza ten, zda się
czarodziejski krag wlas-
nego małego światka. I
na plus trzeba zali-
czyć Wilmańskiemu, że
krag ten, bardzo przecięt-
ny, przekracza raz po
raz, stając się zaangażo-
wanym, o jak nieładnie
brzmi to słowo, przechod-
niem, człowiekiem, który
porusza się po świecie
dostrzegając innych ludzi.

Jedyną słabością jaką
posiada ten tom prozy,
jest jeszcze pewien brak
umiejętnej selekcji. Wy-
odrębnienia spośród wielu
zdarzeń tych naprawdę
istotnych, ważnych nie
tylko dla autora, ale i
dla czytelników. Byłby
to jednak debiut genial-
ny, w prostej linii kandy-
dat do nagrody Nobla,
gdyby nie posiadał takich
czy innych słabszych
miejsc. Osobiście cieszę
się, że jest ich w tym
tomie tak niewiele.

Jerzy Wilmański —
„Krzywa latarnia” — Wyd.
Łódzkie 1966, cena zł 10.

SUKCES CHÓRU ŁÓDZKICH NAUCZYCIELI W BULGARII

Chór łódzkich nauczycieli... Sukces choru łódzkich nauczycieli w Bulgarii...



Johnny Hallyday

Wszystkim sprawami... Johnny Hallyday jest jednym z najbardziej znanych śpiewaków...

organizowanym przez... organizowanym przez daryski dziennik „l'Humanité”...

Johny Hallyday jest... Johny Hallyday jest jednym z najbardziej znanych śpiewaków...

Jego stosunki rodzinne... Jego stosunki rodzinne, jak się to teraz okazało...

Chłowiec odzyskał... Chłowiec odzyskał swą przeżycia, gdy matka i on...

„Mercure de France”... „Mercure de France” opublikował także zdumiewające...

Chłowiec odzyskał... Chłowiec odzyskał swą przeżycia, gdy matka i on...

DLACZEGO JOHNNY HALLYDAY CHCIAŁ SIĘ ZABIĆ?

W dniu 14 sierpnia... W dniu 14 sierpnia żona Hallydaya, Sylwia...



Sylwia Vartan — żona Johnny Hallydaya.

Johny Hallyday po wy... Johny Hallyday po wyśledach w Londynie...

Wspisująca historia... Wspisująca historia genialnego chłopca, czy mistyfikacja?

Tęgo samego dnia... Tęgo samego dnia w gmachu LDK otworzył VI...

Amatorzy filmu... Amatorzy filmu krótkometrażowego będą mieli...

W Ośrodku Propagandy... W Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Kto, co, kiedy?

relacje niedyskrecje



WYSTAWY W 85 ROCZNICE URODZIN PICASSA

Na osiemdziesięcio... Na osiemdziesięciolecie urodzin Picassa...

GORDON PARKS — CZARNY FOTOREPORTER

„To co potrafi biały... „To co potrafi biały człowiek, potrafi i ty”...

beda rysunki... beda rysunki dzieła ceramiczne i rzeźby Picassa

W galerii w Grand-Palais... W galerii w Grand-Palais w tej chwili urządzono...

życie wówczas i wyrob... życie wówczas i wyrobki. Imal sie różnych zajęć...

Doznał wielu upokorzeń... Doznał wielu upokorzeń zwłaszcza od białych...

obrał sobie zawód fotore... obrał sobie zawód fotoreportera?—odpowiedział, że...

„Mercure de France”... „Mercure de France” opublikował także zdumiewające...

Te dzieła sprawiają... Te dzieła sprawiają, że Gordon Parks otrzymał...

WSPISUJĄCA HISTORIA GENIALNEGO CHŁOPCA, CZY MISTYFIKACJA?

W sierpniu daryski... W sierpniu daryski pismo „Mercure de France”...

nalnością pomysłów... nalnością pomysłów. To trzeba koniecznie obejrzeć.

Tęgo samego dnia... Tęgo samego dnia w gmachu LDK otworzył VI...

Amatorzy filmu... Amatorzy filmu krótkometrażowego będą mieli...

W Ośrodku Propagandy... W Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

Wszystkim sprawami... Wszystkim sprawami sensenkarza. Nie ograniczono...

W. CZERLICA

„NIENASYCENIE” WTRĄCENIE SENSACJA

Austracki tygodnik... Austracki tygodnik „Die Furche”...

T. WOJ.

Jerzy Waleńczyk

TEORETYK nadrealizmu

Odszedł André Breton, teoretyk, pisarz.

Reakcja na pierwszą wojnę światową, 1914-1918, cała siła artystyczna tej reakcji, która się wówczas zmanifestowała, nosiła nazwę Dada i Surrealizmu. Te dwa prądy nie jako mogą być rozważane jako dwa aspekty tej samej rewolucji artystycznej, reprezentowanej przez takich teoretyków jak Tristan Tzara i André Breton.

Formalnie, Dada, założony był w Zurychu, 8 lutego 1916 roku przez T. Tzara, R. Hulsenbecka i H. Arpa; jednak dopiero od przybycia Tzara do Paryża w 1919 r. ruch ten nabrał rozpędu, a forma jaką przybrał jest do zawdzięczenia przede wszystkim Bretonowi, a potem Apollinaire'owi.

André Breton urodzony w 1896 r. przez wiele lat odgrywał rolę lidera ruchu nadrealistycznego. Obok jego wielu manifestów za najważniejszą książkę dzisiaj uważa się zbiór poetycki „Nadja”, 1928. Poza tym „Pole magnetyczne”, „Powietrze i woda” i inne.

Krytycy określają jego styl jako sztywny, nacechowany dystansem do zjawisk. Uznają raczej piękno poszczególnych linijek chociaż, zdarza się również piękne całości. W Polsce tłumaczone André Bretona tylko fragmentarycznie.

Surrealizm był pozytywną „afera” literacka. Afera, bo otoczony był atmosferą ekskomunikacji, klimatem rewolucji. Rozwijał się w kierunku stabilizacji formy.

Nadrealizm miał być nowym środkiem wypowiedzi literackiej, miał oznaczać pełne wyzwolenie ducha ze wszystkiego co go krępowało. Nadrealizm miał być postawą życiową, sposobem reagowania na życie.

„Poeta, który nadejdzie — pisał André Breton — będzie piął się i osiągnie wierzchołki nieprzezwyciężonej i frustrującej idei rozdziewki między działaniem i marzeniem”.

Breton, jako teoretyk, kładł nacisk raczej na odświeżenie wyobraźni, regenerację umysłu ludzkiego, niż na magiczne używanie języka.

Konsekwencje teorii poezji Bretona awansowały sztukę do rangi najwyższych regionów ducha ludzkiego, bo nie był nadrealizm cyrklem intelektualnym, jak to sądzili niektorzy, ani „nieczytelną tajemnicą poety”. Oznaczał on nowe drogi poezji, był płodny w krajach Europy, a przede wszystkim oczywiście we Francji. To co się mówiło potocznie o automatyzmie strumienia podświadomości, o „stowach na wolności” nadrealistów wydaje się być przesadą. Był to nowy konstruktoryzizm pod auspicjami freudowskimi. Nadrealistami byli prawie wszyscy poeci lewicy francuskiej; atomizacja frazy, logiki poetyckiej, konwencje parnasistowskich form postimpresjonistycznych była w runkiem niezbędnym nowej sztuki.

Krytyka francuska zwracała uwagę na fakt, że nadrealiści pod wpływem André Bretona byli bardziej konsekwentni, niż Rimbaud czy Mallarmé. Paradoksom nadrealizmu leży właśnie w fakcie, że jakkolwiek było wielu nadrealistów, nie ma nadrealistów wybitnych. Dzisiaj jako najlepszy nadrealista wyrosłego z teorii André Bretona krytyka wymienia Roberta Desnosa, którego poematy miłosne są istotnie piękne. Poeta w Polsce prawie nieznan.

Breton odwoływał się do pracy wyobraźni pisarza. Pisał: „Jest to czas, kiedy można intencją kieruje atakowanie niechęci tego, co zdumiewa, jest to plaga pewnych ludzi, którzy pragną pokryć uśmiechkiem to, co artystę zdumiewa. Powiedzmy jasno. Zdumiewające jest ciągle pięknem. Wszystko co zdumiewa jest pięknem, może tylko zdumiewające jest pięknem”.

Przecież z teoretycznych rozważań André Bretona w rezultacie w wyniku swoiste go przemyslenia na gruncie angielskim wyrosła „Ziemia jałowa”, w każdym razie atomizacja czasu i przestrzeni, jedności, akcji, bohaterów wskazuje na tę genealogię. Nadrealizm patronuje tajemnicom podświadomości bohaterów „Pod Mlecznym Lasem” Dylana Thomasa, żeby tylko wymienić tego poety rangi Rimbauda, był i polski nadrealizm, manifestujący się w twórczości Jana Brzokowskiego, Adama Ważyka, był i „chłopski nadrealizm” kojarzący się z aurą prowincji polskiej na zarchaiznych snu i prawdy, notabędny Stanisław Piętka, Czesława Miłosa, czy może najbardziej reprezentatywny w poezji Józefa Czechowicza.

Nadrealizm bretonowski był fazą przejściową, otwarciem granic nowej logiki.

KRONIKA

Antytelewizyjna

WIECZÓR NORWIDOWSKI

Kto wie, może największą kompromitacją polskiego życia kulturalnego był los Norwida, los człowieka i los poety. Jego twórczość wyjątkowo długo nie była doceniana, sam apelował do wnuczków, jako człowiek jest coraz bardziej samotny, głuchnie, szuka gorzkiej pociechy w alkoholu, cierpi niedzę, umiera w przytułku św. Kazimierza, drugie miejsce jego ostatniego spoczynku to wspólny grób wygnañców polskich na cmentarzu Montmorency.

Józef Czechowicz jest autorem dramatycznego poematu o Norwidzie, może jak dotąd najtrafniej ujmującego dzieje poety — „Dom Świętego Kazimierza”. Aż dotąd czekamy na pełne wydanie jego ocalonych utworów, choć poeta od dawna wywiera wielki wpływ na poezję i na poj-

nowanie sztuki. Jeśli chodzi o Łódź, do norwidologów należy zaliczyć zm. Romana Zrebowicza, edytora i komentatora oraz Mariana Plechala, autora eseju o Norwidzie (1937 r.).

Dobrze się stało, że Studio 63, poświęciło wieczór Norwidowi z okazji 145 rocznicy urodzin. Podkreślając słabość w opracowaniu audycji, trzeba jednocześnie zgłosić zastrzeżenia. Zabrakło przede wszystkim komentarza. Przypuszczam, że wielu słuchaczom nie ułatwiło to odbioru. Jeśli się mówi o do-brym upowszechnianiu, to nie po raz pierwszy w swoisty sposób lekceważy się okazje.

Teksty tak dobrano, by nam przypomnieć raczej myśliciela niż poety. Z najbardziej znanych liryków usłyszelismy tylko „W Weronie”, ale recytatorowi nie udało się wydobyć owej cienkiej norwidowskiej ironii, zawartej w linijskich:

„A ludzie mówią, i mówią uczenie,
Ze to nie lzy są, ale że kamienie...”

Różne mogą być style recytatorskie, uważam jednak, który wyjaśnia tekst. Chodzi mi o to, by nie recytować, ale raczej mówić wiersze. Dlatego najbardziej podobal mi się Andrzej Łapicki we fragmencie prozy o Sropenie z „Czarnych kwiatów”.

Ze sztuk teatralnych, a tydzień znowu był dość obfity, na pierwszym miejscu umieszczę „Dziwnego pasażera” znanego poety z Wrocławia, Tymoteusza Karpowicza. Rzecz poetycka — potrącająca o freudowskie doświadczenia, a jednocześnie zaś osadzona w polskich sprawach, rzecz o odzyskiwaniu przyszłości w celu odzyskania się w teraźniejszości. Odbiega od jej klimatu rozwiązanie sprawy skrzynki, nie nowe i znane dobrze z literatury. Można było potraktować tę skrzynkę, przy zachowaniu tej samej symbolizacji, jako bardziej odkrywczo, poetycko.

Pasażer Wiktor Grotowicz oraz Szofer Władysław Dewoyno zastąpili na całkowity aplauz. Byli naturalni i sugestywni w dziwnych sytuacjach, powołanych do życia przez poety. Co zaś dotyczy techniki przekazywania, to jak tak dalej pójdzie siłą rzeczy doczekamy się ab-

solucyj decentralizacji w te-

lewiszili
Niestety, nie potrafili zdobyć się na żywcem potraktowanie. Montgomery'ego „Dnia bez kłamstwa”. Zasadnym jest pytanie, czy toż było bardzo możliwe, że ta komedia była w swoim czasie doskonała. Ale potem jej chwytliwy upowszechnili inni, dzieje się tak bardzo często, przeto brzmi ona anachronicznie. Taki np. dowcipny epizod z wymyślonym życiorysem jakże jest dzisiaj wyeksploatowany, nawet przez ankiety personalne o pewnego okresu po wojnie.

Nie przyczynili się do sukcesu i wykonawcy, jedni, jak Barbara Ludwiżanka grała rzeczywistość w komedii, inni w jakiejś farsie. Komedia należy grać z powagą, bardziej serio, wtedy na ogół zyskuje. Nie udało się stopniowanie sytuacji aż do minuty, decydującej dla zakładu. Ale to wina reżysera Edwarda Dzielwińskiego.

Nie znam powieści Andrzeja Kuśniewicza, więc mogę mówić jedynie o telewizyjnej adaptacji „Korupcji”. Mimo paru gestów i zacieka-wiających epizodów nie otrzymaliśmy jakiegokolwiek autonomicznej całości. Ani to „kobra” ani teatry sensacji. Szkoda było autentycznego wysiłku utalentowanych aktorów. Przecież Krzysztof Chamiec stworzył pełną postać, choć nie miał zbyt wielu danych zawartych w tekście. Karol jest też raczej zasługą Zbigniewa Józefowicza, Pułkownik Wojciecha Pilarskiego, co nie obciąża jego aktorskiego konta, to już drażniący schemat, coś jak w swoim czasie kulał z sumiastymi wąsami i obrzymym brzuchem.

Jeśli coś ujawniono w widowisku, to nie korupcję według odleglejszych znaczeń tego słowa, ale pewien typ pozorów działalności. Gdyby się uprzeć, można w tym do-rzecz aluzję do niejednego przejawu w naszym współczesnym życiu. Byłaby to jednak nadmierna żywołność dla omawianej pozycji.

Sprawa nieprzypołytnych wydarzeń w TV naprawdę nasuwa poważne refleksje, a nie były te wyrazy nieod-zowne i w tym wypadku. Jak w tej sytuacji milicja ma wyciągnąć konsekwencje w stosunku do „błuzniących” przed paroma osobami, jeżeli...

Jan Hussaczyn



O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Nagrodę za najlepszą reżyserię na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes w 1963 roku uzyskał film Liviú Ciulei „LAS POWIESZONYCH”. Powiedzmy szczerze — było to pewnym zaskoczeniem, bowiem pozycja Rumunii w kinematografii światowej nie należy do najmocniejszych. Główny autor tego sukcesu — Liviú Ciulei jest twórcą o szerokich i różnorodnych zainteresowaniach, posiadającym praktykę nie tylko w dziedzinie sztuki filmowej. Jest reżyserem teatralnym i filmowym, aktorem i malarzem-scenografem. Studiował aktorstwo i architekturę. Ta wszechstronność talentu Ciulei jest niezaprzeczalnie źródłem bogactwa treści filmu ujętej w piękną harmonijną formę, której dominującą cechą jest chęta jednolita tonacja nastrojowa, szala całość i zwarta całość. Wyraźnie widoczny jest wpływ studiów architektonicznych na koncepcję „Lasu powieszonych”. Krytycy określając charakter filmów Ciulei często porównywali ich zawiłe linie do kształtów barokowej architektu-

ry. „Las powieszonych” ma coś klasycznego w tym bogactwie, nie można mu przy tym odmówić nowoczesności. „Chciałem, aby mój film rysował się przed oczami widza jak solidna, masywna arka — mówi reżyser. Łuk spoczywający solidnie na dwu symetrycznych kolumnach, którymi są sceny początkowe i finał, utrzymane w identycznej tonacji. Na tym tle poszczególne wątki zasadniczej akcji, przedstawiające różnorodne poszukiwania bohaterów, rysować się będą jak zwieńczenia i ozdoby łuku”. Architektoniczna symetryczność „Lasu powieszonych” ujęła w harmonijną całość opo-zycyjne zarysowane problemy próbując ukazać wewnętrzne rozdarcie człowieka XX wieku. Wszystko obraca się — zgodnie z zamysłem reżysera — wokół problemu życia i śmierci, szczeni i poświęcenia. Dwoista, konfliktowa jest miłość głównego bohatera — porucznika Bološi konieczność dokonania przez niego wyboru pomiędzy chęcią złożenia z siebie ofiary ojczyźnie, a właściwym każdemu człowiekowi ta-

stynkiem samozachowawczym staje się przyczyna głębokiego rozdarcia psychicznego porucznika, który uwikłany w dramatyczne zdarzenia i sytuacje dojrzenia, ulegając wielkiej i zasadniczej przemianie. Wojenne przeżycia uczą młodego bohatera, iż świat, w którym przyszło mu żyć i walczyć pełen jest kłamstwa, pozorów, fałszywych idei. A przecież te właśnie idee, pozory, kosztują życie tysięcy ludzi. Czy musi tak być? W ten sposób film dochodzi do problemu zdefiniowania współczesnego człowieka. I tu okazuje się, że wybrać można w pewnych sytuacjach jedynie pomiędzy życiem a śmiercią. Wolność człowieka jest w nich wolnością skazańca lub samobójcy. Jest więc fikcja. „Chciałem uderzyć na alarm — wyznał Ciulei — nie wolno, byśmy przemienili się w bezosobowe cyfry w sztabowych wykazach”. Zadanie to zostało w piękny i mądry sposób wypełnione. I to jest czysto humanitarna, ponadczasowa wymowa filmu. Nie zapominajmy jednakże i o drugiej płaszczyźnie „Lasu



Z prawdziwą treścią pisze o hitcockowskiej „TREMIE”. Po pierwsze dlatego, że film powstał w roku 1949 (tak! — choć dopiero teraz wchodzi na nasze ekrany), a widz współczesny mimo woli zapomina o tych blisko dwudziestu latach i przy pomocy dzisiejszych kryteriów, bez dystansu należnego dziełom archiwalnym skłonny oceniać jest „Treme”. Po drugie — przez wzgląd na to, iż Alfred Hitchcock to już zasłużony i niedościgniony mistrz i klasyk, o którego twórczości napisało dużo, analizując bardzo dokładnie poszczególne filmy, w tym także i „Treme”. Jakkolwiek istnieje dość znaczna różnorodność w in-

terpretacjach tego filmu i ocenie szczegółów, wszyscy na ogół zgadzają się, że w dorobku Hitchcocka „Treme” nie jest pozycją wybitną. Tym bardziej więc godne uwagi jest to, że przez blisko dwa dziesięciolecia, zabójca dla obrzymiej większości filmów, ten „thriller” zesterzał się bardzo mało. Wielu, zaciekawia na równi z naprawdę udanymi współczesnymi kryminałami. (Dobrego „nosa” miała nasza CWF — publiczność z pewnością nie zawiedzie filmu, ani film publiczności). Najbardziej zdumiewa finał „Tremy” dając tak cenne dla tego gatunku zaskoczenie w rozwiązaniu akcji. Rzadko który film kryminal-

nia zaskakuje odbiorcę do tego stopnia. (Nie powiem nie więcej, aby nie popuścić nikomu dobrej zabawy w kinie). Owo wrażenie uzyskuje Hitchcock dzięki mistrzowskiemu zespoleniu pozorów i realności, stawiając nas w ten sposób w sytuacji siedzącego śledczego, który ma do rozszyfrowania naprawdę trudną sprawę. Jedną z „oskarżonych” jest w niej Marlena Dietrich, która choć zyskała sobie przydomek wiecznie młodej, już w tym filmie (o perfidna złośliwości kamery anno domini 1949!) nie grzeszy włościanym urokiem. Nie przeszkadza to jednak ani trochę znać i docenić urodzi-cielski kunszt tej aktorki. Marlena

nie tylko jest i gra, Marlena także śpiewa i to doskonale, jedną ze swych najbardziej popularnych piosenek. Niewątpliwym alutem „Tremy” jest także i to, że elementy grozy graniczą w niej z ironicznymi „angielskim” humorem. Znakomita i jasna wymowna jest czołówka filmu: teatralna kurtyna unosi się powoli w górę ukazując jednak nie scenę, lecz ogólny widok Londynu Świętego obraz, będący kluczem do całej twórczości Hitchcocka, charakteryzujący ją może lepiej, niż wiele zawiłych wypowiedzi. Warto o nim pamiętać. Choć krótki — wiele wyjaśnia i pomaga zrozumieć.
MARIAREL

Piosenki Znao Tamizy

„Things go better with Coca-Cola” (Z Coca-Colą wszystko jest łatwiejsze) — tak twierdzi śpiewana reklama, która można usłyszeć przez radio. Na placu Picadilly Circus w Londynie wiruje olbrzymia czerwona reklama: gaśnie, aby po chwili rzucić się w oczy przechodniom: „Drink Coca-Cola”. Wokół placu krążą czerwone piętrowe autobusy i tysiące różnych samochodów. Zapala się i gaśnie wielki błękitnobialy napis: „Smoke Players” (pal papierosy „Players”). „Kupuj samochody BMC”. „Kupuj szkockie piwo”. „Pij codziennie mleko”. „Obejrzyj najnowszy film „Beatlesów”...

Na Picadilly Circus wszystko kręci się i drga w jakimś urytmie. Tylko Eros, w soku na postumencie na środku placu zamart na jednej nodze z łukiem w ręku. Wydaje się, że sędzi lot strzały pędzącej w stronę Soho.

Każda reklama coś oferuje, sprzedaje. Robi to nachalnie, ale jakże umiejętnie. W domu, po powrocie z londyńskie go spaceru, nastawiam radio. Słychę najpierw piosenkę „Good thing sunshine”, a po chwili głos speakera: „Go and get „Cadet”, the best quality cigarettes”. Kładę się na tapczanie i zapalam „Cadeta”. Rzeczywiście, jest niezły i paczka tych papierosów stosunkowo niedrogo kosztuje. Za tę cenę można zjeść tylko obiad...

Po którejś z kolei piosence znowu włącza się speaker i proponuje żebym kupił „Sun-silk shampoo”, krem, mydło, „Kozak vodka”, specyfik usuwający melancholię, niestrawność i inne fizyczne i psychiczne dolegliwości. A wszystko to odbywa się na tle ciągłej rywalizacji niezliczonej ilości piosenkarzy i zespołów big-beatowych. Kto jest lepszy? Kto ma lepszego menażera? Amerykanie czy Anglicy? Wy twórnice płyt prześcigają się w pomysły... Ale nie wszyscy kim piosenkarzom wystarcza dobrze zorganizowana reklama. Tylko nieliczni pozostają na placu boju.

Podstarzał już teenager, a także i młodsze pokolenie nastolatków jeszcze ciągle jest pod urokiem mieszanka, historycznego potirlandczyka Elvisa Presleya. Znakomity

ten piosenkarz mimo służby wojskowej, którą odbywał w armii amerykańskiej w Niemczech zachodnich — nie skończył się, jak przypuszczaliśmy z ubolewaniem niektórzy wielbiciele jego talentu. Wręcz przeciwnie, Elvis „Miednica” (tym anatomicznym terminem nazwano go ze względu na energiczne ruchy biodrami w czasie wykonywania utworów) okrępił i nawet czegoś się w starej Europie nauczył. Poszerzył swój repertuar, który do tychczas zawężał się jedynie do rock'n rolla. Po powrocie do Nowego Świata nagral płytę z „hitem” niezwykle udanym, śpiewanym po angielsku i po niemiecku: „Wooden heart” (drewniane serce) i w dalszym ciągu w świecie anglosaskim jest singlerem numer jeden. W Anglii trudno jest się dostać na jego koncert. Jedną z przeszkód są już przysławne „stone” ceny biletów.

Równie trudno jest znaleźć miejsce na sali w czasie koncertu rodzimego angielskiego gwiazdora — Cliffa Richarda. Jeszcze chwilę trwa hałas poprzedzający ukazanie się na estradzie piosenkarza wraz z towarzyszącym mu zespołem instrumentalno-wokalnym. Jeszcze roznościelsie sprzedają orzeźwiający napoje w plastikowych prostokątnych pudełkach, gumę do żucia, czekoladę...

Rozglądam się po sali. Młodzież pici obojga, która prawie nie różni się od siebie ani fryzurami, ani też ubiorem. Obok mnie siedzą kilku-nastoletnie dziewczyny. Mają proste, opadające na ramiona włosy, sweterki, na szyjach medaliony i dodatkowe okrycie: skórzane kurtki. Niektóre dziewczyny są w dżinsach.

Lecz oto gaśnie światło i replektory krzyżują się na estradzie i w tym momencie wbiegają muzycy, którym towarzyszy hałas i gwizd widzów. Moje sąsiadki zachowują się jeszcze spokojnie, ale niedługo. Ogólne podniecenie również im się udziela, zwłaszcza, że zespół zaczyna grać jakąś szybką bardzo rytmiczną melodię. Przy mikrofonie stoi Cliff. Jest przystojny. Ma długie, starannie uczesane ciemne włosy chłopcęzgrabną figurę, regularne rysy twarzy. Śpiewa z towarzyszeniem świetnego zespołu „The Shadows” („Cienie”), który stał się dla niego znakomitą parterem.

Cliff jest piosenkarzem typu szlachetnego. Nie tarza się po estradzie jak obszarpani „Rolling Stones”. Podnieca nastolatków szybkim bitem i pozwala im się wyżyć: młodzi Anglicy ryczą, tupią, gwizdzą. Dziewczęta siedzące obok mnie szarpią się za włosy, klepią się po udach, przyciskają palce z rozkoszy... Bo to przecież śpiewa sam Cliff Richard. Każdej z dziewcząt wydaje się, że on śpiewa tylko dla niej i dlatego, przy odrobinie odwagi połączonych z szaleństwem można podbiec do niego i nawet go dotknąć...

O niczym w tej chwili nie marzę,
tylko o tańcu,
Chodź z nami, będziesz mogła tańczyć z kim zechcesz i co będziesz chciała.
Rock, boss nova, twist!
Chodź z nami na słoneczną plażę.
Tam spadną z ciebie wszelkie kłopoty.
O, jakże wielką radością jest tańce!
Chodź!

Widzę jak niektórzy chłopcy podnoszą się z miejsc. Zdejmują z siebie marynarki, swetry i podzuczają do góry. Robią to też dziewczęta. Pisk jest tak straszny, że przez chwilę nie słychać ani Cliffa Richarda, wystukującego rytm przed mikrofonem, ani też kolyszącego się w rytmie, grającego „na pełny gaz” zespołu. Hałas cichnie na tyle, że można rozróżnić słowa:

O niczym w tej chwili nie marzę,
tylko o tańcu!
Chodź...!

Po skończonym utworze na scenie panuje chaos, który regulują dźwięki z estrady. Miękkim, aksamitnym głosem śpiewa Cliff. Dziewczęta siedzą zasluchane, a te obok mnie nawet pochlipują ze wzruszenia...

Zakochałem się od pierwszego wejrzenia i cały świat stał się moim światem.
Spełniły się moje marzenia w jednej chwili,
bo ty to sprawiłaś, stworzyłaś mi raj na ziemi i pokazałaś to, o czym od dawna tylko marzyłem...

„Shadows”, jak przystało na cienie, powtarzają za nim niczym echo, słowa piosenki: Wierzcie mi, jeżeli nadejdzie miłość, dzieje się to w oka mgnieniu i wiedzy, do ciebie należy cały świat...
Brzęczą dyskretnie gitary wydobywając rytm śmętnej melodii. A w przerwie, kiedy zmęczeni muzycy odpoczywają za kulisami, z ogólnego zgłosku sali dochodzi mnie z sąsiedztwa dźwięki orkiestry symfonicznej, na fle której jakiś aktor z wielkim przejęciem recytuje popularny utwór „Beatlesów”: „Noc po ciężkim dniu”.

It's been a hard day's night,
and I've been working like a dog.
It's been a hard day's night,
and I'll be sleeping like a log,
but when I...

Słowa brzmią uroczyście, z pogłosem, jak w pustej świątyni. Ale widocznie nie podobają się moim sąsiadkom, bo wylaczają radio tranzysonorowe. Wtedy wyjmuję z kieszeni gazety i zaczynam je przeglądać. Najpierw „Daily

Mirror”. Na pierwszej stronie blondynka Dusty Springfield, która jeszcze przed sześcioma laty była zwykłą ekspedientką w sklepie z zabawkami, w tej chwili przełamala wieloletnią hegemonię piosenkarów amerykańskich i stała się, zdaniem setkowych jurorów „New Musical Express”, pieśniarką świata Nr 1! Naturalnie, popularność zupełnie zasłużoną przyczyniła jej między innymi piosenka „The Carnival is Over” „Koniec karnawału”, czyli inaczej mówiąc: „Wolga, Wolga, ma! radnaja”, rosyjska pieśń ludowa.

Piosenkarzem numer jeden po raz siódmy z kolei został Elvis Presley, a najlepszym zespołem świata — „The Beatles”.

O powodzeniu „Beatlesów” odbywających tournée po Stanach Zjednoczonych nieomal krzycha olbrzymie tytuły na pierwszych stronach gazet: „30 tysięcy teenagerów obiegających lotnisko czekało kilka godzin na przyjazd „Beatlesów”!!!

Jest już późny wieczór. Sobota. Weekend w pełni. Tu na przedmieściu Londynu panuje zupełny spokój. Płoną neonowe reklamy. Nieopodal kościoł, jak ślimak rogi, wystawia swoją wieżyczkę i płonący czerwony krzyż. Gdy podchodzi bliżej — można odczytać również neonowy napis: „Chrystus umarł za nas”. Kilkadziesiąt metrów dalej, na rogu ulicy, znajduje się pub z małym parkingiem i ogródkiem. Tu rozrzucone jak olbrzymie chrabaszce, leżą upstrzone, znakowane trupimi czaszkami i krzyżami (memento mori?) motocykle. Na skuterach udekorowanych chromowanymi reflektorami różnej wielkości i kształtu (po kilka reflektorów na każdym), ze znużonymi minami siedzą elegancyści Mods. Stojące obok samochody też do nich należą. Mods są zupełnie spokojni. Palą papierosy, czekają...

Kilkunastu Rockersów zajęło róg ulicy. Klaska w dłonie i śpiewają popularną piosenkę zaczynającą się od słów: „She loves me, ye, ye, ye...” Spiew i klaskanie ciągną się w nieskończoność. Rockersi są w bransie. Osłabnięcie tego stanu przyspiesza i podtrzymuje piwo donoszone z pobliskiego kiosku. Butelki wędrują z rąk do rąk, nie przerywają do jednak głośnego bełkotliwego wycia.

Dostrzegam w pobliżu dwóch policjantów na motocyklach, którzy obojętnie przyglądają się „występom” półpijanych Rockersów. Nie czekam aż dojdzie do kolizji Rockers — Mods. Może tym razem nie dojdzie do bótki, bo spłoszeni obecnością „glin” wsiadają na motocykle i popędzą sami nie wiedząc dokąd...

Z cyklu: Portrety



Rys. Wacław Kondek



Lewym okiem

PRZYJEMNY ODGŁOS UDERZEN

W „Polityce” sprzed paru tygodni znakomity pisarz, Stanisław Dypat, zdumiewa się faktem, że są ludzie, którzy po przelotnym pobycie w Stanach Zjednoczonych mają odwagę pisać o tym kraju. Jak może zrozumieć cokolwiek ze zjawisk miejscowych ktoś obcy, kto przyjeżdża zaledwie na parę tygodni czy choćby na parę miesięcy? — pyta autor. Później wprowadzić przykład Hemingwaya, który napisał o Włoszech „tak pięknie i prawdziwie, jak żadnemu pisarzowi włoskiemu się nie udało”, a nie nigdy nie napisał o własnym kraju; czyli, że lepiej poznać Włochy, w których był parę miesięcy, niż własny kraj, gdzie z przerwaną spędził większość życia. Przykład contra ipsem, ale i tak pozostaje

w nas niejaki niepokój, wywołany cytowanym wyżej retorycznym pytaniem: „Jak może zrozumieć...” i tak dalej.

W „Kulturze” z tegoż tygodnia świetny felietnistą, KTT, ubolewa, że tytuł naszych rodaków podróżuje po bliskich nam krajach południa, po Bułgarii, Jugosławii, Węgrzech, spędzają tam czasem cały miesiąc, i nie przywożą reportaży. Dlaczego nie piszą?

Przed dwoma laty wybitny literat, Michał Choroński, napisał w „Przekroju”, że o obcym zwiedzonym kraju może coś ciekawego powiedzieć tylko człowiek, który znalazł się tu pierwszy raz i to nie na dłużej, niż na parę dni. Później już zatracą się ostrość spojrzenia, za dużo wychodzi analogii, za dużo spraw okazuje się zupełnie nieważnych, a te ważne wciąż nie chcą się ujawnić. Trzeba całych lat, żeby znów wrócić do tematu — z całym balastem problemów i koneserstwa.

Mamy więc trzy różne poglądy na sprawę reportaży z podróży. Nie ma chyba rozsądnego powodu, dla którego by nie można ogłosić trzech różnych poglądów o Ameryce. Powiemy, że to będzie trzech polskich turystów, zaproszonych przez przedwojenne ciotki. Każdy ogląda Amerykę przez miesiąc, pisze reportaż, każdy jest przy tym uczciwy i pisze co myśli. Wszyscy się mylą. No to co? Literatura — w tym także reportaż — to nie prawdy objawione. To właśnie ciągła dyskusja. Sienkiewicz był króciutko w Afryce, a w kil-

kadzie lat później czytamy jego listy stamtąd jak najciekawszą powieść. Słonimski pisał o Stanach na gorąco, co dzień, po parogodzinnej obserwacji. Napisał więcej niż zdola pomyśleć setka przedstawicieli central handlowych, siedzących latami nad Potomakiem. Andre Gide po parutygodniowym wojażu wydał książkę o ZSRR, o której dyskutowano zawzięcie dziesiątki lat. Już nie mówię o Budrewiczu, który potrafi jedną ręką kropić świetny reportaż ze środowiska warszawskich knajpoków, a drugą opisywać historię starożytną Botokudów, spotkaną osobiście w kraju Burundi.

Odrobina wrażeń też nam się należy. Zobaczymy przynajmniej cudzymi, ale wprawionymi wpatrzeniu oczyma, miejsca, w których nas nie ma i chyba nie będzie. Byłby reportażysta zbyt szybko nie uogólniał, bo to już nieuczciwie. Kiedy ktoś jadąc samochodem przez wieś spotyka dwóch chłopów, rąbiących drzewo, nie ma prawa jeszcze napisać, że ludność danego kraju trudni się rąbaniem drzewa. Ale niech sobie pisze: „Przejazdowi naszemu towarzyszy przyjemny odgłos uderzeń: to stary Szilluk rąbie gałęzie baobabu na jutrzejszy kus-kus”.

I ładne, i prawdziwe, i — jak gdzieś powiadają — „czyta się”.

CWIEK